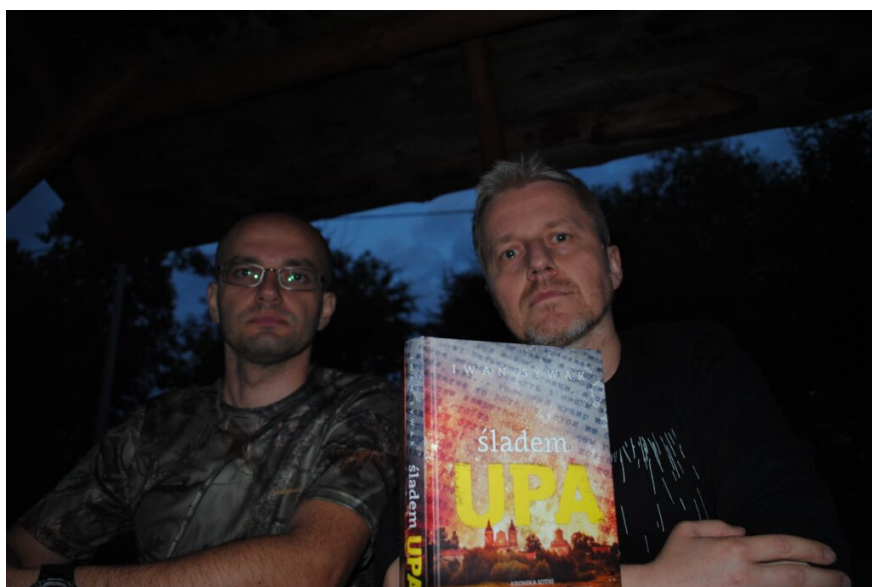


**Część druga: Nauka i edukacja historyczna pod specjalnym nadzorem!
(rozmowę z dr. Mariuszem Sawą, autorem książki Śladem UPA. Kronika sotni
Ukraińskiej Powstańczej Armii „Wowky”
(24 sierpnia 1944 – 11 lipca 1945),
przeprowadził dr Mariusz Zajączkowski,
ISP PAN)**



Część druga: Nauka i edukacja historyczna pod specjalnym nadzorem! (rozmowę z dr. Mariuszem Sawą, autorem książki *Śladem UPA. Kronika sotni Ukraińskiej Powstańczej Armii „Wowky” (24 sierpnia 1944 – 11 lipca 1945)*, przeprowadził dr Mariusz Zajączkowski, ISP PAN) [\[1\]](#)

Mariusz Zajączkowski: Ponownie gościem portalu ohistorie.eu jest dr Mariusz Sawa. Witam Pana bardzo serdecznie.

Mariusz Sawa: Dzień dobry.

M.Z.: Dzisiaj chciałbym porozmawiać z Panem o zagadnieniu, które jest równie interesujące jak Pańska książka *Śladem UPA. Kronika sotni Ukraińskiej Powstańczej Armii „Wowky” (24 sierpnia 1944–11 lipca 1945)* [\[2\]](#). To znaczy o polsko-ukraińskim konflikcie pamięci. Znajduje on odbicie między innymi w upamiętnieniach tragicznych wydarzeń z lat czterdziestych minionego stulecia, jakie możemy spotkać na ziemi hrubieszowskiej i tomaszowskiej. Również temu

konfliktowi poświęcił Pan uwagę w swojej książce. Można chyba powiedzieć, że wiązały się z nim też trudności, jakie napotkał Pan, chcąc ją wydać w IPN. Kwestia ta wydaje się istotna także z tego względu, że ma nie tylko wpływ na pamięć obu społeczności w wymiarze lokalnym, ale i przełożenie na tzw. politykę historyczną obu krajów – Polski i Ukrainy. W czasie objazdów terenowych lub kiedy przemierzamy pieszo albo rowerem urokliwe okolice południowo-wschodniej Lubelszczyzny, oprócz pozostałości ukraińskiej kultury materialnej (cerkwi, cmentarzy, krzyży przydrożnych), natrafiamy na polskie i ukraińskie upamiętnienia tragicznego losu mieszkańców tej ziemi dotkniętych krwawym konfliktem narodowościowym w okresie okupacji niemieckiej i we wczesnych latach powojennych. W związku z powyższym w jaki sposób historyk powinien pisać dla szerszego grona odbiorców o złożonych relacjach polsko-ukraińskich, w tym o działalności OUN-B i UPA, o konflikcie etnicznym, którym w latach 1939–1947 zostały objęte nie tylko obszar wschodniej Lubelszczyzny, ale przede wszystkim Wołyń i Galicja Wschodnia, w końcu o konflikcie wewnętrznym, który podzielił obywateli jednego państwa – II Rzeczypospolitej w czasie wojny, a we wczesnych latach powojennych Polski „lubelskiej”? Jak konstruować rzetelny i bezstronny przekaz o tamtych wydarzeniach? Jakiego języka używać do opisu złożonych, często tragicznych losów jednostek i całych społeczności, różnych pod względem narodowości, wyznania czy światopoglądu?

M.S.: W pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle jest sens pisanie dla szerszego grona odbiorców, czy nie lepiej zamknąć się we własnym kręgu.

M.Z.: Do kogo zatem kieruje Pan swoją książkę?

M.S.: Do szerszego grona odbiorców, ale właśnie zanim ta książka się ukazała, już się zacząłem zastanawiać, czy nie pisać po prostu nie tyle dla samego siebie, ile dla kilku osób, które zgłębiają ten temat, zamknąć się w zaciszu archiwów, bibliotek, następnie pojechać z książką w celu prezentacji na konferencję naukową, ale nie wychodzić z tym do ludzi. Problem tkwi w tym, jak opowiadać o UPA niehistorykom oraz historykom, którzy w jakiś sposób są zaangażowani w życie publiczne, a niektórzy w polityczne, realizując założenia „polityki historycznej” państwa. Kiedyś na jednym z forów internetowych, bodajże na Facebooku, poświęconych jednej z wsi opisanych w książce (Cichobórz), starły się dwie pamięci dotyczące lat czterdziestych XX w. i stosunków polsko-ukraińskich w tej miejscowości i okolicy. Przy jakiejś okazji wspominałem o postaci Iwana Niewiadomskiego „Jurka”, jednego z ostatnich partyzantów ukraińskich w powiecie hrubieszowskim, którego zdjęcie zaprezentowałem w swojej publikacji. Widnieje ono zresztą na okładce Pańskiej książki *Pod znakiem Króla Daniela*. „Jurko” pochodził z Cichoborza. Zналиśmy nawet obaj jego małżonkę, która do śmierci mieszkała w sąsiednim Ślipczu. Od jednej z osób uczestniczących w dyskusji na wspomnianym forum internetowym otrzymałem krótką wiadomość: „A mi »Jurko« zamordował dziadka”. Cóż można więcej powiedzieć i jak dyskutować, na jaki poziom delikatności trzeba wejść, żeby kogoś przez przypadek nie urazić? Znalazłem się również w takiej sytuacji, kiedy jedna pani powiedziała mi: „Basaj zamordował mi dziadka”. Dotykamy wówczas ludzkiej wrażliwości i pamięci rodzinnej.

M.Z.: Pamięci jednostkowej.

M.S.: Jednostkowej, a nawet postpamięci, bo to już nie mówią świadkowie tamtych wydarzeń, lecz kolejne pokolenia, drugie albo trzecie pokolenie, i ten przekaz jest coraz bardziej upraszczany i obrasta w mity, ewentualnie jest wtłaczany przez niektóre osoby w jakiś schemat, który mało ma wspólnego z rzeczywistością sprzed ponad siedemdziesięciu lat. Z kolei historyk, który stara się rzetelnie opisać tamtą rzeczywistość na podstawie wielowątkowych źródeł i pokazać te dylematy moralne i światłocienie, jest oskarżany o...

M.Z.: Taką czy inną rację stanu?

M.S.: Działanie na rzecz lub wbrew takiej czy innej racji stanu. Nagminne pytanie, z jakim bardzo często się spotykam, pisząc zarówno o UPA, jak i zbrodni polskiego podziemia w Sahryniu, brzmi: „Czy jesteś Ukraińcem?”.

M.Z.: Jakby to miało znaczenie?

M.S.: Jakiegokolwiek znaczenie... Pytanie skierowane do autora publikacji o narodowość, ponieważ komuś nie podoba się zawarty w niej przekaz, gdyż nie wpisuje się on w jednostronną narrację narodową, w zasadzie zamyka merytoryczną dyskusję. Rozbijamy się więc o wydawałoby się kuriozalne problemy, ale niestety tak nie jest. Badacze zajmujący się tematyką konfliktów narodowościowych, w tym przypadku konfliktem polsko-ukraińskim, mają pełną świadomość, że piszą w określonych realiach politycznych w naszym kraju i sytuacji geopolitycznej w regionie. Mogą na przykład przeczytać w „Przeglądzie Bezpieczeństwa Wewnętrznego”, redagowanym przez pracowników i współpracowników Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, o wojnie hybrydowej, której jednym z elementów jest batalia informacyjna tocząca się o pamięć o konkretnych wydarzeniach z przeszłości. Najczęściej takich, które do dziś budzą kontrowersje i wywołują żywe, niekiedy wręcz burzliwie dyskusje wśród historyków, publicystów, polityków, a nawet przeciętnych obywateli w naszym kraju, gdzie poziom zainteresowania historią najnowszą w części społeczeństwa jest dość wysoki. Jednocześnie historycy badający konflikty między etnicznymi Polakami a współobywatelami wywodzącymi się z mniejszości narodowych, etnicznych czy wyznaniowych z pierwszej połowy XX w. piszą i publikują jako polscy obywatele, niektórzy jako pracownicy instytucji państwowych realizujących nakreślone przez władze tezy „polityki historycznej”. Niestety owa „polityka historyczna” ma niewiele wspólnego z rzetelnym i obiektywnym uprawianiem nauki oraz wolnością badań historycznych.

M.Z.: Mówimy tutaj o tzw. polsko-ukraińskiej wojnie pomnikowej, która jest widoczna w terenie. Upamiętnienia, niekiedy symboliczne, dotyczą okoliczności wydarzeń z tego samego okresu, lecz podkreślają martyrologię tylko jednej ze stron konfliktu narodowościowego, w zależności od jego aktorów polskiej lub ukraińskiej.

M.S.: Kiedyś prof. Grzegorz Motyka słusznie zauważył, że nie jest to wyłącznie polsko-ukraiński konflikt pamięci, lecz także konflikt pamięci wewnątrzpolski. Konflikt między różnymi interpretacjami i podejściami do omawianego zagadnienia wśród polskich historyków, który znajduje odbicie w przestrzeni publicznej. Na gruncie tematyki poruszonej w książce *Śladem UPA* odwołałbym się do dwóch miejsc w Hrubieszowskiem, gdzie wzniesiono upamiętnienia. Jedno z nich jest związane z datą 26 lutego 1946 r. Doszło

wtedy do boju pod Liskami (w lesie Czepycz) między oddziałem niszczycielskim 64 Dywizji Wojsk Wewnętrznych NKWD a oddziałami UPA „Wowky I” i „Wowky III”, wywodzącymi się z sotni „Wowky” i WOP OUN-B „Zirki”, oraz tzw. oddziałem goszczącym „Hałajda II”, który wiosną 1945 r. przybył na Chełmszczyznę z USRR. W tym czasie wspomniane oddziały UPA wchodziły w skład kurenia „Wowky”. Banderowcy ponieśli w boju pod Liskami druzgocącą klęskę. Zginęło w nim kilkudziesięciu partyzantów, których okoliczna ludność ukraińska pochowała na uroczysku Białyntok, przy dawnym cerkwisku, w miejscu kultu greckokatolickiego (Matki Boskiej Cierpiącej). Tam też spoczywają do dziś.

M.Z.: Dodajmy, że wspomniany bój UPA z NKWD rozegrał się w pobliżu miejscowości, w której niespełna rok wcześniej stracił życie Stanisław Basaj „Ryś” wraz z trzema członkami osobistej ochrony, w tym jednym pracownikiem hrubieszowskiego UB, z którym Basaj współpracował po lipcu 1944 r. Dowodzi to jedynie zawilgości losów aktorów konfliktu polsko-ukraińskiego.

M.S.: Jedna z wersji dotyczących miejsca pochówku „Rysia” mówi o drzewie lub studni we wsi. Mogiła UPA znajduje się natomiast kilkaset metrów za nią. Krzyż na mogile stał tam prawdopodobnie od końca lat czterdziestych. Na uroczysku Białyntok na początku lat dziewięćdziesiątych społeczność ukraińska z Polski i Ukrainy, w tym dawni partyzanci UPA, ustawiła krzyż czy też wzniosła upamiętnienie, które później zostało rozbudowane o kamienny obelisk i elementy metalowe. Kilka lat temu zostało ono zdewastowane. Na obelisku wypisano datę 11 lipca 1943 r., czyli odnoszącą się do kulminacyjnej fazy akcji antypolskiej OUN-B i UPA na Wołyniu. Ponadto skuto pseudonimy poległych upowców, którzy zostali wymienieni na obelisku, jak również napis „Poległym za wolność Ukrainy” czy „w walce o wolność Ukrainy”. Do dziś ten grób partyzancki, gdyż – co należy podkreślić – nie jest to upamiętnienie symboliczne, nie został odbudowany. Oficjalnie nie jest uznawany za grób wojenny przez Lubelski Urząd Wojewódzki, mimo że spełnia kryteria określone dla grobów i cmentarzy wojennych w ustawie. Drugim takim miejscem sporu o przeszłość czy obrazem innego rozumienia tejże przeszłości jest cmentarz w Szychowicach, gdzie spoczywają nie tylko członkowie sotni „Wowky”, lecz także innych oddziałów ukraińskich, którzy w końcowym okresie okupacji niemieckiej polegli w walce z polskim podziemiem, a po lipcu 1944 r. walcząc przeciwko różnym sowieckim i polskim formacjom policyjnym i wojskowym. Tam również znajduje się napis „Poległym za wolność Ukrainy”. Jeden z lokalnych działaczy społecznych, mjr rez. dr Marek Gaska, były wykładowca Akademii Obrony Narodowej w Warszawie, kilkanaście miesięcy temu zgłosił do prokuratury treść napisu, gdyż w jego ocenie uderza ona w Polskę i polską rację stanu. Istnieją zatem na terenie województwa lubelskiego pomniki, które wywołują kontrowersje, emocje i spory.

M.Z.: Może owe konflikty potęguje to, że ukraińskie upamiętnienia były stawiane bez zgody władz lokalnych?

M.S.: W przypadku Bialegostoku moglibyśmy w pewnym stopniu zgodzić się z taką interpretacją, gdyż nie był to cmentarz. Natomiast mogiła w Szychowicach znajduje się na cmentarzu prawosławnym. Zatem należy zadać pytanie, czy w ogóle można kwestionować legalność mogił. Mogiła pod Liskami to grób wojenny skrywający szczątki osób, które straciły życie, walcząc z reżimem komunistycznym w pojałtańskiej Polsce, reżimem wspieranym wydatnie przez

sowiecki aparat represji i wojsko. Jest to zatem upamiętnienie podlegające opiece państwa polskiego, zarówno w osobie wojewody lubelskiego, jak i właściwej instytucji państwowej, czyli IPN.

M.Z.: Pomijając regulacje prawne dotyczące grobów wojennych, trzeba wyraźnie podkreślić, że należy pochylić się ze stosownym szacunkiem nad każdą śmiercią, każdą ofiarą, niezależnie od jej narodowości, wyznania, przynależności organizacyjnej czy politycznej. Innymi słowy, upamiętnienie (w tym przypadku krzyż) przysługuje każdemu w miejscu jego pochówku. Niemniej pojawia się wątpliwość, jakie upamiętnienie powinno się traktować jako mogiłę wojenną, która podlega opiece państwa, na terytorium którego się znajduje. Czy istnieją w Polsce odpowiednie przepisy czy umowy międzynarodowe regulujące ten stan?

M.S.: Badałem tę sprawę bardzo szczegółowo, więc z pełnym przekonaniem stwierdzam, że mogiła członków UPA pod Liskami jest grobem wojennym w świetle polskiego prawa i powinna podlegać opiece państwa polskiego. Regulują to co najmniej dwa akty prawne: Ustawa o grobach i cmentarzach wojennych z 28 marca 1933 r. oraz Umowa między Rządem Rzeczypospolitej Polskiej a Rządem Ukrainy o ochronie miejsc pamięci i spoczynku ofiar wojny i represji politycznych, sporządzona w Warszawie 21 marca 1994 r. Nie wiem, co się stanie z tym zdewastowanym miejscem. Wiem, że ta mogiła jest zlokalizowana na działce prywatnej. Istnieje zatem pole do dalszych działań, mimo że to miejsce nie jest tak znane jak upamiętnienia na Podkarpaciu, jak to na górze Monasterz w pobliżu Werchraty czy w Hruszowicach.

M.Z.: Upamiętnienie na cerkwisku w Monasterzu zostało wzniesione również na mogile partyzantów UPA, którzy w marcu 1945 r. polegali w tej okolicy w walce z Wojskami Pogranicznymi NKWD. W odróżnieniu od upamiętnienia w Liskach powstało ono po dwustronnych polsko-ukraińskich uzgodnieniach dotyczących treści tablicy pamiątkowej. Mimo to po dewastacji ukraińskiego upamiętnienia przez „nieznanych sprawców” w 2015 r. nie przywrócono pierwotnej treści tablicy.

M.S.: Natomiast w odniesieniu do pytania, jakiego języka używać do opisu konfliktu narodowościowego i działalności podziemia ukraińskiego, stoję na stanowisku, że przede wszystkim języka nienacechowanego emocjonalnie, który nie stanowi powielenia języka źródeł. To oczywiście nie jest łatwe, gdyż obracamy się w kręgu konkretnych opowieści o przeszłości. Mnie samemu niekiedy trudno wyzbyć się pewnych nawyków, ale nie możemy popadać w skrajności. Ostatnio w ukraińskim internecie natrafiłem na sformułowanie „arystokrata ducha” odnoszące się do Romana Szuchewycza „Tarasa Czuprynki”, naczelnego dowódcy UPA, który w okresie 1943–1950 stał również na czele struktur politycznych podziemia ukraińskiego. Osoby odpowiedzialnej między innymi za masowe zbrodnie popełnione przez OUN-B i UPA na ludności polskiej na obszarach objętych konfliktem narodowościowym (1943–1945). Wspomniane sformułowanie jest klasycznym przykładem hurratriotyzmu, bezrefleksyjnej heroizacji jednostki, niemal przypisywania jej cech świętości. A jednocześnie to dowód na brak świadomości i elementarnej wiedzy o Szuchewyczu, którego czyny uznawane za chlubne przez tzw. strażników pamięci o podziemiu banderowskim dla innych, szczególnie potomków społeczności dotkniętej aktami terroru ze strony tego podziemia, są niezwykle kontrowersyjne i nie do

przyjęcia.

M.Z.: Z kolei na gruncie polskim w ostatnich kilku latach obserwuje się postępujący proces odejścia od niezależnej nauki (analizy krytycznej) na rzecz zadekretowanej przez państwo bezkrytycznej narracji patriotycznej (w istocie nacjonalistycznej), którą określa się mianem polityki historycznej. Można chyba mówić tutaj o swoistym odrodzeniu się po 2015 r. w sferze polityki wobec pamięci w Polsce immanentnych cech peerelowskiego moczaryzmu (patriotycznej narracji komunistycznej z lat sześćdziesiątych XX w.). Proces ten jest szczególnie widoczny wśród niektórych zawodowych historyków zatrudnionych w instytucjach państwowych, które zajmują się realizacją założeń polityki historycznej w przestrzeni publicznej. Są oni często stawiani przed wyborem: czy prowadzić badania naukowe w zgodzie z etyką zawodową i warsztatem historyka, w zgodzie z przysięgą doktorską w przypadku osób mających stopnie i tytuły naukowe, czy może bardziej jako urzędnicy państwowi realizować bez zastrzeżeń założenia propagandy historycznej wpisujące się w nurt „pedagogiki dumy” (bezkrytycznej narracji o wyłącznie bohaterkiej i martyrologicznej przeszłości narodu), która jest stawiana w opozycji do „pedagogiki wstydu” (historii krytycznej). Tym samym być w zgodzie z obowiązującą wykładnią polityczną. To znaczy czy upowszechniać w swoich publikacjach zadęcie ideologiczne, jednostronną narrację narodową i wyłącznie heroiczno-martyrologiczno-nostalgiczne podejście do dziejów własnego narodu, określane „wstawaniem z kolan”, czy przeciwnie, prezentować podejście krytyczne, charakterystyczne dla dojrzałej postawy obywatelskiej, pozbawione kompleksów. Postawy gotowości do zmierzenia się i jednocześnie rozliczenia z nie zawsze chlubną i krystalicznie czystą przeszłością własnego narodu, w której obok chwalebnych czynów można odnaleźć i te wstydlive. Bez zamiatania „czarnych kart” polskiej historii pod dywan, bez zamykania w szafach „trupów” przeszłości, które z czasem powrócą, lecz ze zdwojoną siłą. Przy tym stosować język naukowy, a jednocześnie niehermetyczny, aby móc konstruować narrację niez zaangażowaną, merytoryczną, przejrzystą i zrozumiałą. Niestety nie wszyscy historycy zatrudnieni w urzędach państwowych wytrzymują próbę czasu i charakteru, nie wszyscy też zdają egzamin z przyzwoitości.

M.S.: W moim przekonaniu podstawowym problemem jest to, że aktualny dyskurs publiczny o przeszłości został oparty wyłącznie na jednostronnej pamięci i edukacji narodowej, a nie na przekazie obiektywnym, rzetelnym naukowo i bazującej na nim edukacji historycznej z prawdziwego zdarzenia. Jest to również dyskurs władzy: my dobrzy, oni źli, my bohaterowie bez skazy i ofiary, oni nikczemni bandyci i sprawcy zbrodni. Doskonałym przykładem *stricte* komercyjnego, dalece nierzetelnego, jednostronnego i przede wszystkim nienaukowego przekazu o konflikcie polsko-ukraińskim, który ma w istocie charakter zaangażowanej publicystyki, są publikacje Marka Koprowskiego. Autor ten dotykał w swoich publikacjach między innymi problematyki konfliktu narodowościowego na wschodniej Lubelszczyźnie. Koprowskiego przedstawia się jako historyka, choć nim nie jest. Kreuje się go na autora publikacji opartych na szerokiej kwerendzie archiwalnej, bogatym korpusie źródeł i najnowszej literaturze przedmiotu. Podczas gdy wspomniany autor nie wykonał praktycznie żadnej kwerendy archiwalnej, nie zna też nie tylko najnowszej, lecz także podstawowej literatury przedmiotu. Co więcej, Koprowski przypisuje ukraińskiemu podziemi zbrodni, których ono nie popełniło, między innymi

będące dziełem komunistów. Udało mi się takie przypadki ustalić. Przykładowo zbrodnię popełnioną przez funkcjonariuszy komunistycznego Urzędu Bezpieczeństwa w nocy z 3 na 4 marca 1945 r. w Hrubieszowie na szesnastu mężczyznach przypisał UPA. Podobnie ze zbrodnią dokonaną przez NKWD lub UB 10 czerwca 1945 r. w Kolonii Staszic. W tym przypadku na konto upowców zaliczył 47 dodatkowych ofiar. Ponadto fałszuje niektóre dane, nawet liczbowe, dotyczące konkretnych faktów, zbrodni i ofiar. Bez wycucia kontekstu, nadużywając pojęć i epitetów wartościujących wobec niektórych osób, stajemy się mniej wiarygodni. Natomiast co do opisu konkretnych wydarzeń dobrym przykładem, w jaki sposób można starać się pisać nieemocjonalnie, kierując swój przekaz, swoją opowieść do ludzi niebędących historykami, są na przykład publikacje historyka i antropologa historycznego Jarosława Syrnyka. Opisuje on kwestie stosunków polsko-ukraińskich w Bieszczadach, mówiąc o zabójstwach, nie o likwidacji, o zbrodni, nie o rozstrzelaniu. Wspomniany autor jest autochtonem, osobą wywodzącą się z tamtych terenów, osobą o korzeniach ukraińskich. Osobą o wyjątkowej wrażliwości pod tym względem. Co moim zdaniem jest jeszcze istotne: abyśmy, tak jak już mówiliśmy wcześniej, nie mieszały pojęć z historii, etyki i nauk prawnych w jednej opowieści i jasno je rozgraniczali. Informowali czytelnika, że w danym miejscu posługujemy się językiem i operujemy metodą charakterystyczną dla nauk historycznych, w innym zaś opowiadamy o kwestiach moralnych i operujemy pojęciami z dziedziny etyki – wina, odpowiedzialność, sumienie, przebaczenie, pojednanie, które w dyskursie publicznym są nieustannie mieszane. Niemniej pojęcia z dziedziny etyki czy nauk prawnych, spór o to, czy coś było zbrodnią ludobójstwa, zbrodnią przeciwko ludzkości czy zbrodnią wojenną, w moim przekonaniu również trzeba jasno pokazywać. Ciekawą tezę zaprezentował kiedyś publicysta ukraiński Bogdan Huk, że jesteśmy wychowani na propagandzie nacjonalistycznej i trudno jest nam wyzbyć się polono- czy ukrainocentryzmu. To jest fakt, bo jeżeli piszemy o stosunkach polsko-ukraińskich, tak jak w moim przypadku, to niekiedy tracimy z oczu nie tylko kontekst polski czy ukraiński tych stosunków, lecz także szerszą perspektywę, kontekst europejski. Można wówczas popaść nieświadomie w poczucie wyjątkowości. Być przeświadczonym, że stosunki polsko-ukraińskie i konflikt polsko-ukraiński był na tle europejskich konfliktów XX w. czy II wojny światowej czymś wyjątkowym.

M.Z.: Z pewnością był czymś wyjątkowym dla uczestników tamtych wydarzeń, a przede wszystkim dla ofiar i ich rodzin. To zawsze trzeba mieć z tyłu głowy. Oczywiście rozumiem potrzebę przedstawiania szerszego kontekstu historycznego czy społecznego tamtych tragicznych wydarzeń, ale często schodząc do poziomu jednostki i jej pamięci, mówiąc o konflikcie pamięci zwaśnionych w przeszłości społeczności czy całych narodów, o wojnie pomnikowej, niezrozumieniu, braku chęci zrozumienia, musimy zdawać sobie sprawę, że mamy do czynienia przede wszystkim z traumatycznym doświadczeniem jednostki. Kogoś, kto stracił bliskich, został bezpośrednio doświadczony konfliktem narodowościowym; dla niego często jest to najważniejsze, a jednocześnie najtragiczniejsze doświadczenie życiowe i jego potomkowie kultywują od kilku pokoleń pamięć o tym doświadczeniu. Takich osób raczej nie interesują szerokie konteksty, lecz przeważnie bardzo wąska perspektywa. Najczęściej nie patrzą na konflikt polsko-ukraiński z lotu ptaka, ale przez pryzmat własnych doświadczeń, doświadczeń rodziny. Zatem jak do nich dotrzeć z takim przekazem jak Pański?

M.S.: Spróbować nakłonić przedstawicieli zwaśnionych stron, aby usiedli przy jednym stole, aby opowiedzieli sobie własne historie rodzinne związane z konfliktem narodowościowym. Aby jeden mówił, że dziadka zamordował mu Iwan Niewiadomski „Jurko”, drugi, że uczynił to samo z jego bliskim Stanisław Basaj „Ryś”. Naturalną rolą historyka jest wejść w ten konflikt pamięci i starać się pokazywać wielowątkowość, a jednocześnie zachęcać do empatii wobec drugiej strony i eliminowania z narracji etnocentrycznego podejścia do konkretnej zbrodni.

M.Z.: Wydaje się, że przedstawił Pan jedynie idealny scenariusz rozwiązywania nabrzmiałych przez dziesiątki lat wzajemnych niechęci. Rzeczywistość jest niestety bardziej złożona. Na pamięć jednostki czy określonej zbiorowości nakładają się również wieloletnie klisze, stereotypy, przekazy rodzinne, przekazy środowiskowe, wreszcie propaganda historyczna z okresu PRL, a także ta obecna. To wszystko ma ogromne znaczenie dla odbioru przekazu niezależnego historyka, wyraźnie niewpisującego się w narrację środowiska reprezentującego sposób myślenia i pamięci osób bezpośrednio doświadczonych konfliktem polsko-ukraińskim. Nie każdego bowiem stać na refleksję, wybaczenie i pojednanie.

M.S.: Nie neguję, że środowisko, w jakim się wychowywałem, rozmowy z ludźmi, których znałem, nie rzutują w żaden sposób na to, w jaki sposób podchodzę do problematyki związanej z działalnością UPA czy do relacji polsko-ukraińskich na Chełmszczyźnie. Tego się nie wypieram i z tym się nie ukrywam. Myślę, że to jasno powinien historyk ujawniać, powinien jasno mówić o tym, z jakiej pozycji zabiera głos. Natomiast historyk może moim zdaniem skutecznie próbować dyskutować z tymi, którzy w przestrzeni publicznej prezentują konkretną wizję stosunków polsko-ukraińskich czy też tworzą określone mity na temat przeszłości i są przekonani o podmiotowości jednostek, grup czy formacji zbrojnych, które brały udział w konflikcie polsko-ukraińskim i do których oni się odwołują, których dziedzictwo uważają za swoje. Choćby przypadek tzw. powstania zamojskiego, które rzekomo zatrzymało niemieckie wysiedlenia. To jest przekonanie o własnej podmiotowości.

M.Z.: Mit „powstania zamojskiego” to jedynie wyobrażenie, historia życzeniowa, która nie ma nic wspólnego z wydarzeniami na Zamojszczyźnie w latach 1942–1943. Do zimy 1942/1943 r. AK nie rozwijała ruchu partyzanckiego, a wcześniejsze akcje dywersyjno-sabotażowe na terenie GG starała się prowadzić w taki sposób, aby nie wywoływać niemieckich represji w stosunku do ludności polskiej. Nawet po rozpoczęciu przez Niemców przymusowych wysiedleń na Zamojszczyźnie wywołany nimi spontaniczny opór chłopów kierownictwo polskiego podziemia starało się ograniczać jedynie do lokalnej kontrakcji, głównie do akcji samoobronnych. Sam termin „powstanie zamojskie” został ukuty przez propagandę niemiecką w celu uzasadnienia masowego terroru wobec ludności Zamojszczyzny. W Komendzie Głównej AK doskonale zdawano sobie sprawę, że w realiach 1943 r. jakiegokolwiek antyniemieckie wystąpienia o szerszym zasięgu na terenach okupowanych (przedwczesne powstanie), sprowokowane przez Niemców czy przez „akcję bolszewicką” (działalność partyzantki komunistycznej), nie mają realnych szans powodzenia i mogą przynieść jedynie ogromne straty wśród polskiej ludności. Niestety od pewnego czasu niektórzy politycy, zwłaszcza ci o silnym napięciu ideologicznym, oraz urzędowi historycy angażują się w utrwalanie mitu o „powstaniu zamojskim”,

nie mając nawet świadomości, że to „powstanie” istniało jedynie w umyśle specjalistów do spraw propagandy brunatnego reżimu III Rzeszy. Tym samym owi dzisiejsi krzewiciele starego mitu wykazują się porażającym brakiem elementarnej wiedzy historycznej oraz nieznaną źródła i najnowszej literatury przedmiotu. Krótko mówiąc, mamy do czynienia z niedouczonejmi zaklinaczami faktów historycznych, którzy starają się propagować w przestrzeni publicznej fałszywy przekaz o przeszłości własnego narodu w celu zdobycia pokłasku i kapitału politycznego na przyszłość.

M.S.: Dodajmy, mowa tutaj o politykach z wykształceniem historycznym lub prawnym, w tym o nauczycielach akademickich. Taka sytuacja sprzyja także mitotwórstwu na temat „powstania antykomunistycznego 1944–1963” w Polsce i lukrowanej historii „żołnierzy wyklętych”. Z kolei podobna aktywność ukraińskich strażników pamięci o podziemiu banderowskim przynosi wyidealizowany przekaz o „neskorenych” partyzantach UPA i członkach OUN-B, czyli o ukraińskich „niezłomnych”. Historyk wchodzi w konflikt z tego typu narracjami nie tylko na poziomie publikacji naukowych czy tekstów publicystycznych, ale też na poziomie upamiętnień, w tym szczególnie obiektów symbolicznych. Mamy na przykład bojówkę OUN-B, której członkowie weszli w skład sotni „Wowky” w połowie marca 1944 r. Bojówkę, która w nocy z 14 na 15 marca 1944 r. zamordowała na stacji w Gozdowie około 30 osób, w większości pracowników kolei. Wydarzenie to jest upamiętnione w Gozdowie tablicą. Jej tekst zawiera nazwiska osób „zamordowanych przez bandy UPA”. Czyli mamy tu dwa przekłamania, bo UPA nie była bandą i nie ona dokonała tej zbrodni, lecz bojówka OUN-B. Jeśli więc chodzi o język, musimy być jak najbardziej precyzyjni, zwłaszcza gdy mowa o treści tablic upamiętniających. Używany na nich język powinien być pozbawiony uproszczeń, eufemizmów, niedopowiedzeń...

M.Z.: Często na tablicach, które dotyczą mało chwalebnych czynów, brakuje podmiotowości ofiar i precyzyjnych informacji o sprawcach.

M.S.: Problem ten dotyczy zarówno polskich, jak i ukraińskich upamiętnień. Niedopowiedzenia odnoszą się do Polaków wymordowanych w latach 1943–1944 przez OUN-B i UPA na Wołyniu i w Galicji Wschodniej z jednej strony, z drugiej zaś Ukraińców wymordowanych przez AK i BCh na Chełmszczyźnie, choćby w Sahryniu.

M.Z.: To samo dotyczy na przykład upamiętnienia ukraińskich, białoruskich czy żydowskich ofiar polskiego podziemia nacjonalistycznego (NSZ i NZW), które zginęły w latach 1945–1946 na Lubelszczyźnie, Rzeszowszczyźnie czy Białostocczyźnie z rąk podkomendnych Mieczysława Pazderskiego „Szarego”, Józefa Zadziarskiego „Wołyniaka” czy Romualda Rajsa „Burego”.

M.S.: Tak, w Wierzchowinach jest mowa o ofiarach jako prawosławnych mieszkańcach wsi.

M.Z.: Dodajmy, że byli nimi również Badacze Pisma Świętego pochodzenia ukraińskiego, którzy zostali wymordowani 6 czerwca 1945 r. razem z większością prawosławnych mieszkańców wsi. Niestety z treści tablicy widniejącej na upamiętnieniu w Wierzchowinach nie dowiemy się ani o tym, ani z czyjej ręki stracili życie ukraińscy chłopcy.

M.S.: Stajemy przed dylematem, jak dalece powinniśmy zagłębiać się w szczegóły dotyczące przekazu o danej zbrodni zamieszczonego na tablicy upamiętniającej, gdyż powinien on być syntetyczny i zrozumiały dla przeciętnego odbiorcy, choćby turysty, który w czasie swojej podróży czy wędrowki trafia przypadkiem do konkretnej miejscowości, gdzie napotyka grób masowy ofiar konkretnej zbrodni. Czy powinniśmy na przykład w przypadku zbrodni w Chłaniowie i Władysławinie z lipca 1944 r. zamieścić informację, że brali w niej udział członkowie Ukraińskiego Legionu Samoobrony, który tworzyli byli partyzanci OUN Andrija Melnyka z Wołynia?

M.Z.: Zbrodnie w Chłaniowie i Władysławinie czy wcześniejsza w Smoligowie ciąży na okupancie niemieckim, ponieważ została popełniona przez członków ukraińskich formacji policyjnych w służbie niemieckiej i dowodzonych przez Niemców, podobnie jak zbrodnie członków oddziałów wartowniczych SS z Trawniki. Te ostatnie nie są bowiem zbrodniami jeńców sowieckich, głównie nierosyjskiej narodowości (w dużym stopniu Ukraińców), którzy w większości tworzyli wspomnianą formację „ludzi z Trawniki”, lecz zbrodniami niemieckimi wpisującymi się przede wszystkim w Zagładę ludności żydowskiej w GG. I dopiero taka informacja jest zgodna z faktami.

M.S.: Czy powinniśmy wskazywać na ukraińską narodowość sprawców, mimo że ULS został utworzony i dowodzony przez Niemców? Czy na jedno i drugie? To jest kwestia do dyskusji.

M.Z.: Jak już wspomniałem, zbrodnie popełniane przez policyjne i wojskowe formacje ukraińskie w służbie niemieckiej były zbrodniami okupanta, ponieważ jednostki te podlegały dowództwu niemieckiemu i wykonywały niemieckie rozkazy. Sytuacja zmieniała się, kiedy dotychczasowi policjanci i żołnierze ukraińscy, na przykład z 5 pułku policji SS złożonego z pierwszego zaciągu ochotników do Dywizji SS „Galizien”, dezercerowali grupowo ze służby niemieckiej do UPA. Od tego momentu stawali się wyłącznie członkami ukraińskiej formacji partyzanckiej, zbrojnego ramienia OUN-B. Od tej chwili odium winy za wszelkie zbrodnie popełnione przez ukraińskich dezercerów/partyzantów UPA spadało na kierownictwo podziemia banderowskiego. Dopiero w takiej sytuacji możemy mówić o zbrodniach ukraińskich.

M.S.: Ale nie możemy mówić, że to była zbrodnia niemiecko-ukraińska.

M.Z.: W istocie, ponieważ jest to zlepek słów pochodzący z języka sowieckiej propagandy, w którym członków OUN-B i partyzantów UPA określano jako „niemiecko-ukraińskich faszystów”.

M.S.: Opór środowisk lokalnych przed zgodą na upamiętnienie czy choćby zadbanie o mogiłę partyzantów UPA poległych w Liskach w lutym 1946 r. w walce z Sowietami jest w pewnym sensie dla mnie zrozumiały. Niektórzy upowcy bowiem mogli w maju 1945 r. brać udział w zbrodniach na Polakach w Łachowcach, Rzeplinie, Radkowie czy Brodzicy. W przypadku sotni „Wowky” istnieje jeszcze problem polskich milicjantów, którzy zginęli w walce z partyzantami UPA.

M.Z.: Milicjantów, którzy w większości wywodzili się z działających na tym terenie w okresie okupacji niemieckiej struktur AK i BCh czy powiązanych z nimi samoobron. Pozostali zaś z partyzantki komunistycznej – Gwardii

Ludowej/Armii Ludowej.

M.S.: Mamy bowiem milicjantów, którzy w kwietniu 1945 r. zginęli z rąk partyzantów Wołodymyra Sywaka „Zirki” (WOP OUN-B). Co najmniej dwóch z nich wywodziło się z polskiej partyzantki komunistycznej (AL). Zatem w jaki sposób i czy upamiętniać milicjantów, którzy polegli w walce z UPA? Tylko dlatego, że polegli w walce z banderowcami, zapominając, że byli częścią komunistycznego aparatu represji? Czy brać pod uwagę, że zginęli, jak się nieraz podnosi, w walce o bezpieczeństwo własnych rodzin i swoich wsi, zapominając przy tym, że w czasie wojny występowali w interesie ZSRR, a nie państwa polskiego (II RP) jako członkowie zbrojnej bojówki PPR? Sądzę, że tutaj także powinniśmy iść tropem prof. Tomasza Stryjka. Nie oceniać przez pryzmat przynależności politycznej czy organizacyjnej, ale jedynie ze względu na bilans osobistych czynów.

M.Z.: Pańskie dylematy dowodzą jedynie, że prawdziwa historia nie jest przekazem czarno-białym, lecz mieniącym się wieloma odcieniami szarości. Możemy wspomnieć tutaj chociażby o Polakach z Tarnopolskiego, którzy po 1944 r. w dużej liczbie zasilili istriebitielnyje bataliony. Ich członkowie wywodziли się z AK i polskich samoobron. Poszli do IB, gdyż odczuwali bardzo realne zagrożenie ze strony ukraińskiego podziemia. Od Sowietów otrzymali broń, tak potrzebną do obrony własnych rodzin. Niemniej używali jej również do zadawania śmierci okolicznym chłopom ukraińskim w akcie ślepej zemsty za banderowskie akty terroru wobec ludności polskiej lub za rzeczywiste czy jedynie domniemane związki z partyzantką. Jeszcze zimą 1944/1945 r. w dawnym województwie tarnopolskim doszło do napadów na Polaków, które swoim charakterem przypominały wcześniejszą masową akcję antypolską. Jednocześnie doniedawni akowcy, występując przeciwko Ukraińcom jako członkowie IB, działali jako funkcjonariusze sowieckiego aparatu represji i jako tacy niektórzy z nich ginęli z rąk partyzantów ukraińskich. To jest właśnie ta niejednoznaczność, wielowątkowość i splątanie losów ludzkich, w tym konkretnym przypadku dotyczące aktorów konfliktu polsko-ukraińskiego.

M.S.: Stąd też rodzi się pytanie, jak mamy o nich mówić, jak i czy ich upamiętniać, a może dekomunizować pomniki ludzi, którzy walczyli w formacjach komunistycznych przeciwko ukraińskiemu podziemiu i w tej walce zginęli.

M.Z.: To są pytania otwarte. Raczej nie rozstrzygniemy tego sporu w czasie naszej i tak długiej rozmowy. To jest temat na odrębną dyskusję czy też dłuższe Polaków i nie tylko Polaków rozmowy. Na zakończenie mam jeszcze pytanie o realne zagrożenia płynące dla wolności badań naukowych, a także dla samych historyków, którzy podejmują niełatwą tematykę relacji etnicznych Polaków z mniejszościami narodowymi w czasie wojny i okupacji oraz we wczesnych latach powojennych. Pytanie nie jest przypadkowe, gdyż między innymi Pan stał się jedną z ofiar „walki” z tzw. pedagogiką wstydu w odniesieniu do relacji polsko-ukraińskich w latach czterdziestych XX w. Został Pan wiosną 2021 r. zwolniony z pracy w lubelskim oddziale IPN, nieoficjalnie za „niewłaściwe” podejście do stosunków polsko-ukraińskich. To znaczy jakie?

M.S.: Myślę, że kwestie odpowiedzialności historyka za słowa czy też przypisywania mu działania na szkodę czyichś interesów to temat na solidną,

obszerną rozprawę, być może na książkę. Jeszcze dwadzieścia lat temu na czoło sporu o historię, sporu o przeszłość wysuwały się relacje polsko-żydowskie czy polsko-niemieckie, wewnątrzpolskie spory o stosunek do komunizmu czy do konkretnych osób działających w okresie komunistycznym przeciwko władzy komunistycznej. W jednej ze swoich publikacji opisał to niegdyś prof. Paweł Machcewicz. Relacje polsko-ukraińskie nie występowały jako stały, wieloletni element sporu o przeszłość. Zresztą one tak naprawdę nigdy nie były bardzo istotne. Na pewno nie tak jak na przykład relacje chorwacko-serbskie w czasie II wojny światowej dla współczesnej Serbii i Chorwacji. Historyk, jego działalność publiczna, jego piśmiennictwo, wypowiedzi czy odbiór społeczny i ewentualne konsekwencje jego słów dla niego samego w ostatnim czasie nabierają coraz większego znaczenia. Jeszcze kilka lat temu spór sądowy o prawdę historyczną między dr. Sławomirem Poleszakiem a prof. Mirosławem Piotrowskim można było uznać, ja to przynajmniej tak odbierałem, za swoiste kuriozum, gdyż rzetelny historyk z IPN został pozwany do sądu przez pracownika naukowego KUL za napisanie krytycznej recenzji dotyczącej jego bardzo słabej książki o dziejach NSZ na Lubelszczyźnie.

M.Z.: Dodajmy, do której prof. Piotrowski nie raczył się nawet ustosunkować na piśmie w periodyku naukowym, a miał do tego pełne prawo. Najwyraźniej uznał, że sala sądowa to właściwe miejsce do rozstrzygania tego typu sporów. I dlatego przegrał z kretesem.

M.S.: Wtedy mieliśmy pierwszy taki wypadek, jeszcze odosobniony. W ostatnim czasie obserwujemy jednak wyraźne nasilenie ataków ze strony środowisk „prawdziwych patriotów” czy wspieranych przez państwo rozmaitych fundacji i organizacji złożonych z „obrońców dobrego imienia Polski i Polaków”, bardzo aktywnych w odniesieniu do złożonych relacji polsko-żydowskich, zwłaszcza kwestionowania współudziału niektórych Polaków w ostatnim etapie Zagłady w Generalnym Gubernatorstwie. Mam tutaj na myśli ataki na prof. Jana Grabowskiego i prof. Barbarę Engelking czy ostatni, związany z publikacją dr. Sławomira Poleszaka o okupacyjnych losach Józefa Franczaka „Lalusia”, która zawierała informacje o antysemickich wątkach jego działalności. Zatem będącej nie do przyjęcia dla strażników pamięci o polskim podziemiu antykomunistycznym, gdyż dotyczącej ostatniego „wyklętego”, uznawanego jednocześnie za symbol mitycznego „powstania antykomunistycznego 1944–1963”. Wspomniane przykłady niestety prowadzą nas do smutnej konstatacji, że nawet publikowanie wyników badań naukowych w czasopiśmie specjalistycznych nie uchroni rzetelnych i niezależnych historyków przed atakami określonych osób czy środowisk, w tym przez dyżurnych historyków rządowych wspieranych przez instytucje i władze państwowe.

M.Z.: Warto w tym miejscu dodać, że za publikację o Józefie Franczaku „Lalusiu” oraz pełnienie funkcji redaktora naczelnego niezależnego portalu ohistorie.eu dr Sławomir Poleszak został jesienią 2021 r. zwolniony z pracy w Oddziale IPN w Lublinie. Stało się tak między innymi wskutek opublikowania przez dwóch historyków-urzędników IPN quasi-recenzji, a raczej paszkwilu na temat wspomnianego artykułu o Franczaku. Jak Pan myśli, z czego to wszystko wynika?

M.S.: Przyczyna jest prozaiczna. Tak jak w przypadku roku 2018 i sporu dr. Grzegorza Kuprianowicza z ówczesnym wojewodą lubelskim dr. hab. Przemysławem

Czarnkiem, który złożył do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa i podał pod jej osąd słowa wypowiedziane 8 lipca 2018 r. przez wspomnianego polskiego historyka pochodzenia ukraińskiego podczas uroczystości religijnych na cmentarzu prawosławnym w Sahryniu z udziałem między innymi ówczesnego prezydenta Ukrainy Petra Poroszenki. Ostatecznie prokuratorzy nie dopatrzyli się znamion przestępstwa w wypowiedzi dr. Kuprianowicza. Działania wojewody Czarnka były więc obliczone jedynie na zdobycie pokłasku, rozgłosu i pomnożenie kapitału politycznego przed wyborami do sejmu w 2019 r. Kosztem ukazania w niekorzystnym świetle przedstawiciela mniejszości ukraińskiej w Polsce stał się on bardziej znany w środowiskach nastawionych antyukraińsko (kresowych i ultrapravicowych), zyskując tym samym ich poparcie. Dostyc łatwo jest grać na emocjach i wykorzystywać wrażliwość osób mających tragiczne doświadczenia i wspomnienia z przeszłości, skrzywdzonych przez banderowskie podziemie na Wołyniu, w Galicji Wschodniej czy na Lubelszczyźnie, jak również wśród ich potomków. Spotykam się też z atakami na mnie za to, w jaki sposób piszę o konflikcie polsko-ukraińskim na Chełmszczyźnie. Dochodziło nawet do prób blokowania sprzedaży moich publikacji naukowych. Sam zamiar napisania książki *Śladem UPA* zrodził się jeszcze w okresie mojego zatrudnienia w IPN. Niestety nie znalazł on zrozumienia w kierownictwie Instytutu.

M.Z.: Dodajmy, że nie jest Pan już pracownikiem IPN.

M.S.: Nie jestem już pracownikiem IPN Lublin z powodu „utrąty zaufania pracodawcy” (byłego już dyrektora Oddziału IPN w Lublinie mgr. Marcina Krzysztofika), który wręczył mi wypowiedzenie w marcu 2021 r. Z tego powodu od 30 czerwca nie jestem już pracownikiem Instytutu.

M.Z.: Rozumiem, że zarówno tematyka ukraińska, sposób, w jaki Pan ją podejmował w swoich pracach naukowych i popularyzatorskich, jak i to, że pochodzi Pan z rodzimym częściowo etnicznie ukraińskiej, miały istotny wpływ na decyzję ówczesnego dyrektora Oddziału IPN w Lublinie o Pańskim zwolnieniu z pracy?

M.S.: To będzie musiał rozstrzygnąć sąd. Mogę się jedynie domyślać, że miały one znaczenie, ponieważ na przestrzeni ostatnich kilku lat docierały do mnie takie głosy. W każdym razie oficjalne powody wskazane w wypowiedzeniu umowy o pracę nie mówiły o tym. W moim przekonaniu powody podane w wypowiedzeniu nie były prawdziwe, wskazano w nim kwestie dyscyplinarno-porządkowe, które w żaden sposób nie oddają istoty sprawy. Jak wspominałem, w moim przekonaniu graniczącym z pewnością zarówno tematyka, którą podejmuję w swoich publikacjach, jak i moje korzenie miały istotny, a nawet decydujący wpływ na zwolnienie z pracy w IPN. Pierwszy sygnał, o tym, że kierownictwo IPN krytycznie odnosi się do moich badań, odebrałem kilka lat temu, kiedy zasugerowałem, aby tłumaczenie kroniki upowskiej *Śladem UPA* wydać poza IPN, w ramach dodatkowego zajęcia zawodowego. Ówczesny prezes IPN dr Jarosław Szarek nie wyraził na to zgody.

M.Z.: Jakie powody przedstawiono, uzasadniając brak zgody prezesa IPN na wydanie Pańskiej książki poza Instytutem?

M.S.: Stwierdzono, że jako pracownik IPN powinienem wydawać książki w

Instytucie, mimo że znam wiele przykładów, kiedy innym pracownikom IPN nie czyniono żadnych przeszkód w analogicznych sytuacjach. Prezes IPN nie wyraził zgody na podjęcie przeze mnie dodatkowego zatrudnienia, nie przedstawiając żadnych przekonujących argumentów na poparcie swojej decyzji. Doświadczylem wówczas swoistej uznaniowości, której kryteriów nie poznałem. To był jeden z pierwszych namacalnych przejawów działań o charakterze dyskryminacyjnym w odniesieniu do mnie, który przypuszczalnie miał mi uświadomić, że nie jest mile widziane to, w jaki sposób uprawiam badania naukowe i popularyzuję ich wyniki. Nie chcę tutaj szerzyć teorii spiskowych czy scenariuszy, których nie jestem w stanie zweryfikować. Niemniej sprzedaż mojej książki *Śladem UPA* została wstrzymana kilka godzin po wejściu na rynek wydawniczy w jednej z księgarń internetowych. Można było odnieść wrażenie, że ktoś na nią czyhał...

M.Z.: Z jakiego powodu wstrzymano sprzedaż Pańskiej książki?

M.S.: W następstwie donosu, w którym insynuowano, że treści zawarte w mojej książce łamią polskie prawo. Miały one jakoby gloryfikować ideologię faszystowską. Sprzedaż została wznowiona po kilku godzinach, gdyż anonimowa informacja na temat mojej książki była nieprawdziwa. To był kolejny przejaw szykan pod moim adresem. Tym razem ktoś próbował zablokować czytelnikom dostęp do mojej książki wkrótce po tym, jak się ukazała. Wcześniej, po zapowiedzi jej wydania i tytułu, pojawiało się w cyberprzestrzeni wiele głosów krytycznych, nawołujących do jej zbojkotowania, w tym kierowanych bezpośrednio do wydawcy. W istocie był to klasyczny hejt uderzający we mnie, w którym z gruntu odrzucano zasadność ukazania się mojej publikacji na polskim rynku wydawniczym. Można by to uznać za marginalny eksces, gdyby nie fakt, że rozmawiamy o mojej książce w plenerze, ponieważ jedna z instytucji państwowych odmówiła nam spotkania wokół książki w swoich murach. Zakomunikowano mi, że powodem takiej decyzji jest zarówno niewygodny temat, jak i moja osoba, wokół której zrobiło się głośno po wyrzuceniu z IPN. Zamieszanie wokół mnie i książki *Śladem UPA* najpewniej bierze się stąd, że w ramach stypendium polsko-ukraińsko-kanadyjskiej fundacji „Kałyna” zająłem się przygotowaniem monografii o zbrodni popełnionej przez AK i BCh na ludności ukraińskiej w kilkunastu wsiach powiatu hrubieszowskiego w marcu 1944 r. Wywołało to emocjonalną reakcję środowisk postkombatanckich, z posłem PiS Sławomirem Zawiślakiem na czele. Zareagował on bardzo emocjonalnie na wywiad, którego udzieliłem „Gazecie Wyborczej” w marcu 2021 r. Na stronie internetowej Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu Zamość zapowiadał, odwołując się do Pisma Świętego, rozprawienie się z historykami takimi jak ja, czyli „wrzucenie w ogień jak drzew niewydających owoców”. Nie wspomnę już o anonimowych pogróżkach pod moim adresem, w tym dotyczących utraty życia, które docierały do mnie pod koniec grudnia 2020 r. za pośrednictwem Internetu.

M.Z.: Kiedy słucham opowieści o Pańskich perturbacjach związanych z wydaniem książki oraz o próbie zablokowania jej sprzedaży wkrótce po jej ukazaniu się, ale też mając z tyłu głowy okoliczności zwolnienia z pracy dr. Poleszaka, przychodzi mi na myśl historia innej publikacji książkowej poświęconej działalności ukraińskiego podziemia w Polsce po lipcu 1944 r. Mam tutaj na myśli kulisy wycofania z półek księgarskich PRL obszernej i w dużej mierze aktualnej do dziś, jeśli pominąć warstwę ideologiczną i pewne nieścisłości,

monografii Antoniego B. Szczęśniaka i Wiesława Z. Szoty *Droga donikąd. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i jej likwidacja w Polsce* (1973). Książka ta cieszyła się dużym powodzeniem wśród czytelników, zanim postanowiono, że powinna zniknąć z księgarń. Choć wspomniana historia działa się w epoce wydawałoby się dawno minionej, to przy zachowaniu wszelkich proporcji, widzę niestety pewne podobieństwa między innymi do obecnej Pana sytuacji jako niezależnego historyka. Książkę Szczęśniaka i Szoty wycofano z księgarń, opierając się na wewnętrznej recenzji (uwagach do książki) sporządzonej na potrzeby MSW PRL w maju 1973 r. Jej autorem był dawny członek podziemia ukraińskiego i jednocześnie wieloletni współpracownik aparatu przemocy Polski Ludowej – Jarosław Hamiwka „Wyszynskyj” vel Jan Świtalski „Huragan”. Czytamy w niej: „dając do rąk czytelnika dzisiaj książkę »Droga donikąd« [dzisiaj moglibyśmy wpisać w tym miejscu tytuł Pana książki – M.Z.], damy mu historię, którą odkryje sobie inaczej, jak była mu wtłaczana. Przeciętny obywatel wiedział i wie do dziś, że na południowo-wschodnich terenach Polski grasowały bandy UPA, że były to bandy ukraińskich faszystów, którzy mordowali ludność polską, grabili i palili wsie. Takie mniemanie o bandach utrwalił wiernie film *Łuny w Bieszczadach* [chodzi o powieść Jana Gerharda *Łuny w Bieszczadach* (1959) i nakręcony na jej motywach film Ewy i Czesława Petelskich *Ogniomistrz Kaleń* (1961) – M.Z.] [...] Taki zasób wiadomości o podziemiu ukraińskim w zupełności przeciętnemu obywatelowi wystarczał i wystarcza do dziś. Z tego tytułu władza ludowa [dzisiaj można by powiedzieć – każda autorytarna władza – M.Z.] nic nie jest dłużna obywatelowi i nie zachodzi potrzeba poszerzać informacji w tym zakresie”. W końcowym fragmencie uwag do książki Szczęśniaka i Szoty agent „Huragan” stwierdzał: „Przesadny realizm w ocenie ówczesnej sytuacji jest dziś obywatelowi niepotrzebny”.

Dlatego nieprzypadkowo na koniec naszej rozmowy pozwoliłem sobie na zacytowanie powyższego dokumentu służb specjalnych PRL. Uznałem bowiem, że może on znakomicie zilustrować również negatywny stosunek do Pańskiej książki, a także do publikacji innych niezależnych historyków, którzy w swoich badaniach nie podejmują zagadnień związanych z problematyką ukraińską. Owa niechęć jest wyrażana nie tylko przez tzw. prawdziwych patriotów ze środowisk kresowo-nacjonalistycznych, ale też przez władze instytucji państwowej (IPN), której jednym z pierwotnych i zarazem podstawowych zadań były niczym nieskrępowane badania naukowe dotyczące najnowszych dziejów Polski i oparta na tych badaniach edukacja historyczna. Niestety pierwotna misja ongiś ważnej instytucji użyteczności publicznej została poświęcona na ołtarzu mitologii politycznej, której jedną z podstawowych i niezmiennych cech jest kult bohaterów i przeświadczenie o moralnej i intelektualnej wyższości ultranarodowej narracji wobec równoległej i wyważonej opowieści o relacjach etnicznych Polaków z mniejszościami narodowymi, etnicznymi i wyznaniowymi. Misja ta uległa również pogłębiającemu się po 2016 r., szczególnie jaskrawo widocznemu po lipcu 2021 r., procesowi infantyilizacji przekazu o historii najnowszej Polski i jego przesiąkania ultraprawicową (endecko-oenerowską) ideologią. Ów proces ma niestety wyraźne znamiona samodestrukcji. Dlatego niepokój powinno budzić to, że obecny prezes IPN Karol Nawrocki – jak należy mniemać, przekonany antykomunista, w dodatku mający stopień naukowy doktora w zakresie nauk humanistycznych – z powodu swojej niewiedzy chwalił bezrefleksyjnie książkę, której autor, „znany

znawca” zagadnienia ukraińskiego, w tym dziejów Kościołów obrządku wschodniego na dawnych ziemiach wschodnich II RP, prof. KUL Mieczysław Ryba (od niedawna, po ponad dziesięciu latach przerwy, ponownie członek Kolegium IPN), bezkrytycznie i zdumiewająco często odwoływał się do „badań historycznych” Edwarda Prusa, dodajmy, „eksperta” MSW PRL do spraw ukraińskich. Biorący zaś udział w debacie wokół wspomnianej książki inny prof. KUL, Przemysław Czarnek (obecny szef resortu edukacji i nauki), również ją chwalił, mimo że – jak sam przyznał – książki nie czytał. Należy przy tym podkreślić, że już pod koniec lat sześćdziesiątych XX w. poważne zastrzeżenia do wartości prac Edwarda Prusa jako eksperta do spraw ukraińskich miały nawet służby specjalne Polski Ludowej. Mowa tutaj o osobie, która w okresie przełomu ustrojowego w Polsce przeszła płynnie z pozycji wyznawcy ideologii narodowego komunizmu do miłośnika polskiego nacjonalizmu i odegrała znaczącą rolę w utrwalaniu peerelowskiego stereotypu „ukraińskich nacjonalistów” wyłącznie jako niemieckich kolaborantów i zbrodniarzy. Wydawałoby się, że prezes IPN i jednocześnie historyk powinien co najmniej orientować się w publikacjach naukowych, które zostały wydane przez Instytut w poprzednich latach. A były takie, choć wydane w okresie, kiedy obecny pan prezes nie był nawet szeregowym pracownikiem w Biurze Edukacji Publicznej IPN (nie mylić z Biurem Edukacji Narodowej IPN powstałym w połowie 2016 r.). W nich to właśnie została ukazana rola, jaką Edward Prus odegrał w PRL w obszarze relacji polsko-ukraińskich. Ale to chyba zbyt wygórowane oczekiwania wobec specjalisty do spraw zarządzania zasobami ludzkimi, który – jak się wydaje – jest zainteresowany przede wszystkim własną karierą polityczną? Do tej zaś instytucja państwowa, którą tymczasowo kieruje jedynie z woli partii sprawującej obecnie władzę w kraju, wydaje się niezbędna.

Kończąc naszą rozmowę tym niezbyt optymistycznym akcentem, bardzo Panu za nią dziękuję.

M.S.: Również bardzo dziękuję za rozmowę.

[1] Rozmowa z dr. Mariuszem Sawą została przeprowadzona przed agresją Rosji na Ukrainę, która nastąpiła 24 lutego 2022 r. Dlatego nie odnosimy się w niej do polityki pamięci państwa polskiego w kontekście wydarzeń o znaczeniu międzynarodowym rozgrywających się po tej dacie za naszą wschodnią granicą, gdyż to temat na osobną rozmowę. Z tego powodu czytelnicy nie znajdą w zapisie rozmowy informacji ani komentarzy dotyczących m.in. konkursu historycznego „Wołyń – pamięć pokoleń”, adresowanego m.in. do uczniów najstarszych klas szkół podstawowych i przeprowadzanego pod honorowym patronatem MEiN także w obliczu wojny na Ukrainie i napływu do polskich szkół dzieci i młodzieży ukraińskich uchodźców. Konkursu, który ma nierozwalny związek z tematem naszej rozmowy, a którego rozstrzygnięcie miało nastąpić 16 maja 2022 r.

[2] Zob. także: *Wycinek złożonej polsko-ukraińskiej mikrohistorii wschodniej Lubelszczyzny w świetle kroniki jednego z oddziałów Ukraińskiej Armii Powstańczej* (rozmowę z dr. Mariuszem Sawą, autorem książki *Śladem UPA. Kronika sotni Ukraińskiej Powstańczej Armii »Wowky«* (24 sierpnia 1944 – 11

lipca 1945) przeprowadził dr Mariusz Zajączkowski, ISP PAN).

Deskrypcja wywiadu: Michał Bednarczyk

Korekta językowa: Beata Bińko

Część pierwsza: Wycinek polsko-ukraińskiej historii wschodniej Lubelszczyzny w świetle kroniki jednego z oddziałów Ukraińskiej Armii Powstańczej (rozmowę z dr. Mariuszem Sawą, autorem książki Śladem UPA. Kronika sotni Ukraińskiej Powstańczej Armii „Wowky” (24 sierpnia 1944 – 11 lipca 1945), przeprowadził dr Mariusz Zajączkowski, ISP PAN)



Mariusz Zajączkowski: Dzisiejszym gościem portalu ohistorie.eu jest dr Mariusz Sawa, autor książki *Śladem UPA. Kronika sotni Ukraińskiej Powstańczej Armii „Wowky” (24 sierpnia 1944–11 lipca 1945)*. Witam Pana bardzo serdecznie.

Mariusz Sawa: Dzień dobry.

M.Z.: Do tej pory był Pan kojarzony jako autor książki o Iwanie Kedrynie-Rudnyckim, która jest efektem Pańskiej rozprawy doktorskiej i zdecydowanie bardziej zaliczałaby Pana do grona biografów czy historyków idei. Co zatem skłoniło Pana do zajęcia się problematyką działalności podziemia ukraińskiego – Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów Stepana Bandery (OUN-B) i Ukraińskiej Armii Powstańczej (UPA) – na Chełmszczyźnie po lipcu 1944 r., w tym złożonych relacji polsko-ukraińskich na tym terenie?

M.S.: Zaliczenie mnie do grona badaczy czy też do grona historyków idei jest nieco na wyrost. Książkę o Iwanie Kedrynie-Rudnyckim napisałem kilka lat temu, ukazała się w 2016 r. Nadal też interesują mnie dzieje ukraińskiej emigracji powojennej na Zachodzie. Prawdopodobnie do tego tematu kiedyś powrócę. Zainteresowałem się nim dzięki promotorowi mojej dysertacji doktorskiej prof. Rafałowi Wnukowi. Pierwsze kroki w tym kierunku, żeby przyrzeć się ukraińskiej emigracji powojennej na zachodzie Europy, w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, poczyniłem, pisząc właśnie książkę o Iwanie Kedrynie-Rudnyckim. W tym kontekście zaciekały mnie polsko-ukraińskie kontakty na emigracji nie tylko na płaszczyźnie politycznej, ale i społeczno-kulturalnej, a także wymiana myśli intelektualnej, w końcu działania zamierzające do dialogu i pojednania polsko-ukraińskiego. Z kroniką sotni (kompanii) UPA „Wowky” („Wilki”) było nieco inaczej. Zawsze interesowałem się historią regionu, z którego się wywodzę, czyli okolicami Hrubieszowa i Tomaszowa Lubelskiego (południowo-wschodnią Lubelszczyznę, Zamojszczyznę), w tradycji ukraińskiej określanymi południową Chełmszczyznę. Wynikało to przede wszystkim z faktu, że moi przodkowie od stuleci tam żyli, tam pracowali, wnieśli pewien wkład w dziedzictwo materialne, które pozostało na Chełmszczyźnie, w postaci cmentarzy, cerkwi, obecnie kościołów. Moi przodkowie ze strony mamy byli grekokatolikami/unitami, czyli chrześcijanami obrządku wschodniego, katolikami, a wcześniej oczywiście prawosławnymi. Tematyka polsko-ukraińska, chrześcijaństwa wschodniego zawsze leżała w kręgu moich zainteresowań badawczych i hobbystycznych, można powiedzieć, że także czysto ludzkich, rodzinnych. Starłem się, by było to widać również w książce *Śladem UPA*. Miejsca pamięci, wokół których od dzieciństwa się obracałem, zarówno te o charakterze religijnym, jak i upamiętnienia dotyczące wydarzeń historycznych; z jednej strony martyrologii, z drugiej zaś bohaterstwa obu narodów – polskiego i ukraińskiego, znajdujące się obecnie w Polsce lub w Ukrainie, po zachodniej i wschodniej stronie granicznej rzeki Bug. Wątek osobisty widoczny jest też w dedykacji. Książka jest poświęcona pamięci Andrzeja i Józefa Sawów, czyli dwóch braci mojego dziadka. Jeden zginął 10 marca 1944 r. lub rok później – tutaj są rozbieżności źródłowe, a przekazów rodzinnych nie mamy – w Turkowicach, w wyniku konfliktu polsko-ukraińskiego, z rąk ludzi prawdopodobnie związanych z ukraińskim podziemiem^[1]. Drugi natomiast został w marcu 1945 r. przesiedlony przez polskie władze komunistyczne do USRR, gdzie został zabity.

M.Z.: Czyli konflikt polsko-ukraiński miał bezpośredni wpływ na doświadczenia

Pana rodziny?

M.S.: Wielu moich przodków czy też członków mojej rodziny z pokolenia moich dziadków bądź pradziadków nie zdawało sobie sprawy, że istnieje jakiś konflikt o podłożu narodowościowym i zarazem, a może przede wszystkim, o podłożu religijnym. Przynajmniej do pewnego okresu nie uświadamiali sobie, że – powiedzmy od końca XIX w. – zostali postawieni przed jakimiś wyborami. Dopiero gdy władza, kościelna, a jeszcze bardziej polityczna, w jakiś sposób wkraczała w ich życie prywatne, zmuszeni byli dokonywać wyborów. To wtedy przypuszczalnie zrozumieli, że świat idzie do przodu, że istnieją jakieś – chociaż pewnie tak tego wówczas nie nazywali – nacjonalizmy, które wymuszają na nich opowiedzenie się po którejś ze stron. I faktycznie tak było. Mój pradziadek, który urodził się jako Wasyl czy Wasilij i pod takim imieniem został ochrzczony w cerkwi, zmarł jako Bazyli. I przez większość rodziny, tej, która pozostała w Polsce, on jako unita wspominany jest jako Bazyli, nie jako Wasyl.

M.Z.: Może warto doprecyzować dla czytelników portalu, że na terenie Chełmszczyzny stykały się społeczności polska z ukraińską, a może bardziej prawosławna z katolicką, ale też unicką/greckokatolicką. Dopiero wybuch II wojny światowej i okupacyjna rzeczywistość zmusiły wielu mieszkańców pogranicza etnicznego do określenia się pod względem narodowościowym. Ludność ukraińska lub wywodząca się z ukraińskiego kręgu kulturowego przewyższała pod względem liczebności ludność polską na wschodnich i południowych terenach Chełmszczyzny. Unicy w pewnym momencie swojej historii zostali zmuszeni do przyjęcia prawosławia, a potem, kiedy mogli już od niego odstąpić, nie dano im możliwości powrotu do wiary przodków. Dlatego część z nich pozostała przy prawosławiu, inni zaś przyjęli wiarę rzymskokatolicką. Tych ostatnich zaczęto od tej pory nazywać pogardliwie kałakutami.

M.S.: Tak, to jest kwestia dosyć skomplikowana. Wiele osób, z którymi rozmawiam, a które pochodzą z okolic Hrubieszowa czy Tomaszowa Lubelskiego lub tam mieszkają, tej świadomości po prostu nie ma. Trzeba mieć pewien zasób wiedzy o podstawowych faktach dotyczących przełomów, które dokonywały się na tym terenie i wpływały na wybory ludzi. Począwszy od 1875 r., czyli likwidacji chełmskiej diecezji unickiej przez carat, kiedy to dawni unicy zostali wcieleni do rosyjskiej Cerkwi prawosławnej. Rok 1905, czyli ogłoszenie tzw. carskiego ukazu tolerancyjnego, kiedy dawni unicy mogli pozostać przy prawosławiu albo przejść na katolicyzm, ale w wersji łacińskiej, bo diecezji unickiej, obrządku greckokatolickiego dla nich już nie reaktywowano. Mój wspomniany pradziadek od strony Mamy jeszcze w 1913 r. był prawosławnym, a przypuszczam, że pod wpływem swojej żony, mojej prababki, która była oporną unitką, dawną grekokatoliczką, przeszedł tuż przed I wojną światową na wyznanie rzymskokatolickie. Jemu mogło być obojętne, jakiego jest wyznania i w jakiej świątyni się modli. Tak przypuszczam, bo trzeba mieć świadomość, że tak jak dzisiaj, nie wszyscy byli gorliwymi katolikami czy prawosławnymi. Trudno takie osoby szufladkować, przyporządkowywać do konkretnych wyznań. Była też pewna część osób religijnie obojętnych. Mówi się o opornych, kształtuje się mit opornych unitów. Rzeczywiście jeden z moich przodków opornym unitą był – Mikołaj Ciucki, który pielgrzymował do papieża w 1904 r. Ale to był tylko jeden przedstawiciel rodu. Rodzina Ciuckich w tym

czasie liczyła w trzech wioskach kilkaset osób noszących to samo nazwisko. Można to łatwo ustalić, przeglądając księgi urzędu stanu cywilnego czy metrykalne. Mieliśmy więc do czynienia z wyborami, istniał konflikt religijny czy nawet międzysąsiedzki, dodatkowo podlegający przez konkretne władze, najpierw carskie, później II Rzeczypospolitej, następnie przez okupanta niemieckiego i władze komunistyczne. To zdecydowało o tym, że część rodziny pozostała na Chełmszczyźnie i do dzisiaj żyje w świadomości bądź w przeważającej większości bez świadomości swoich korzeni wschodnioobrzędkowych i etnicznie ukraińskich, a część dalszej rodziny po prostu została przesiedlona albo dobrowolnie wyjechała za Bug po lipcu 1944 r. Przejawem tej złożoności jest, jak mówiłem wcześniej, Andrzej, zwany Henrykiem, i Józef Sawowie – bracia mojego dziadka Władysława, który był żołnierzem Armii Krajowej, członkiem osobistej ochrony komendanta Obwodu Hrubieszów kpt. Antoniego Rychela „Anioła”.

M.Z.: Dodajmy, poprzednika kpt. Mariana Gołębiewskiego „Irki” na tym stanowisku.

M.S.: Tak. Antoni Rychel, który zginął najprawdopodobniej z rąk członków ukraińskiego podziemia, był uważany za jednego z najbardziej wrogo ustosunkowanych do Ukraińców dowódców AK na tym terenie. Z jednej strony jest więc dziadek akowiec, przyboczny Rychela, z drugiej jego brat – Józef Sawa, którego pamięci poświęcam przekład tej kroniki. Józef w czasie przesiedleń ludności ukraińskiej z Polski do USRR został wiosną 1945 r. wywieziony wraz z rodziną z Terebinia najpierw do obłasti (obwodu) mikołajewskiej, skąd następnie trafił na Wołyń (tam został zastrzelony przez *stribka*, w Polsce powiedzielibyśmy – ormowca). Dodam, że w tym czasie Terebiń był jedną z najbardziej przyjaznych wiosek dla oddziału UPA „Wowky”. Mimo to jego partyzanci dali się mocno we znaki zarówno polskim (katolickim), jak i ukraińskim (prawosławnym) mieszkańcom wsi.

M.Z.: Skupmy się zatem na kronice wspomnianego oddziału UPA, która jest tematem Pana ostatniej książki.

M.S.: Impuls wyszedł od Pana kilka lat temu. To właśnie Pan zainteresował mnie źródłem ukraińskim, kroniką oddziału UPA, która dotyczy powiatu hrubieszowskiego i tomaszowskiego. Najpierw zacząłem ją czytać jako źródło o swoich rodzinnych terenach i tłumaczyć tekst na własne potrzeby, z pasji do dziejów rodzinnych stron. Gdy kronika została już przetłumaczona, postanowiłem opatrzyć ją aparatem naukowym, napisać do niej wstęp i posłowie, a dodatkowo pokazać ludziom miejsca opisane w kronice. Ponadto znałem Panią Olgę Czarnecką z domu Siwak (po ukraińsku Sywak), która była daleką kuzynką autora kroniki. Rozmawialiśmy o tamtych trudnych czasach podczas prywatnych, świątecznych i codziennych spotkań, co dało dodatkowy impuls do pracy nad książką. Świadcowie historii byli dla mnie żywym źródłem. Towarzyszyłem Pani Oldze w ostatnich latach życia jej samej i jej męża Józefa, który akurat z bratem mojego dziadka, wspomnianym Józefem Sawą, został przesiedlony z Terebinia w 1945 r. To były spotkania między innymi przy święcie Jordanu, 19 stycznia, gdy obchodzę imieniny. Spotykaliśmy się wówczas przy wspólnym stole w Hrubieszowie. Z jednej strony Pani Olga, która z rozrzewnieniem, nieraz ze łzami w oczach wspominała tragiczne losy swoich kuzynów walczących w UPA, a z drugiej strony Pan Józef, któremu ukraińscy partyzanci w Terebiniu

wymordowali część krewnych między innymi z rodziny Łuczyńców. Osoby, które zadeklarowały chęć wyjazd do USRR po lipcu 1944 r.

M.Z.: Wbrew temu, czego żądało od miejscowych Ukraińców podziemie banderowskie.

M.S.: Tak, zarówno takie dyskusje w gronie rodzinnym, jak i w gronie znajomych osób czyniły w moich oczach wspomniane źródło bliższym, żywym, aktualnym.

M.Z.: Obszar, o którym jest mowa w kronice oddziału UPA „Wowky”, czyli okolice Hrubieszowa i Tomaszowa Lubelskiego, był targany konfliktem wyznaniowym i narodowościowym już przed II wojną światową. Wystarczy wspomnieć chociażby niesławną akcję rewindykacyjno-polonizacyjną, w tym burzenie cerkwi na Chełmszczyźnie w drugiej połowie lat trzydziestych. Obie społeczności, silnie zwaśnione na krótko przed wybuchem wojny, jeszcze boleśniej zostały doświadczone w okresie okupacji niemieckiej polityką narodowościową okupanta, a także wzmagającym się konfliktem polsko-ukraińskim. Jego symbolami są tragiczne losy w marcu 1944 r. ukraińskich mieszkańców Sahrynia, ofiar „rewolucji hrubieszowskiej” AK i BCh, czy polskich mieszkańców Tarnoszyna zabitych w czasie akcji antypolskiej OUN-B i UPA na Chełmszczyźnie. Wiosną 1944 r. doszło na tym terenie do wybuchu krwawej polsko-ukraińskiej wojny partyzanckiej. Walkom partyzanckim towarzyszyły masowe zbrodnie popełniane przez obie strony na ludności przeciwnika. Ich ofiarą padło w sumie kilka tysięcy polskich i ukraińskich cywilów. Kolejne dziesiątki tysięcy Polaków i Ukraińców z Chełmszczyzny zostały zmuszone do porzuceniem swoich domostw. Zniszczeniu uległa również blisko setka wsi na spornych obszarach pogranicza etnicznego, co w konsekwencji doprowadziło do jego wyludnienia. Kres tym wydarzeniom przyniosło wkroczenie Armii Czerwonej na Lubelszczyznę w lecie 1944 r. I właśnie wtedy rozpoczyna się kronika oddziału UPA „Wowky”, która jest tematem Pana książki. Stąd moje pytanie: jaki obraz realiów pierwszego roku istnienia Polski „lubelskiej” rysuje się w ukraińskiej kronice?

M.S.: Na pewno jest to okres przełomu, tak jak Pan Doktor powiedział. Rzeczywistość okupacyjna niemiecka już się zakończyła, nadeszła nowa rzeczywistość komunistyczna. W kronice jest to bardzo widoczne. Jej autor opisuje poszczególne dni spędzone w ukryciu, w lasach czy w stodołach w ukraińskich wsiach Chełmszczyzny, gdzie dookoła pełno jest Sowietów, oddziałów Armii Czerwonej lub NKWD, przejeżdżających na trasie Hrubieszów–Zamość w stronę dzisiejszej Ukrainy, czyli do Waręża, a także posterunków polskiej Milicji Obywatelskiej. Nowa rzeczywistość wymusza również przyjęcie nowej strategii wobec ludności ukraińskiej i polskiej. W pierwszym przypadku ze względu na to, że od jesieni 1944 r. rozpoczynają się przesiedlenia ludności ukraińskiej z Polski do USRR. Dodajmy, polskich obywateli narodowości ukraińskiej. Podziemie banderowskie, co zresztą jest w kronice widoczne, przeciwdziało akcji przesiedleńczej, w tym chęci wyjazdów do USRR i sympatiom wyrażanym do władzy komunistycznej przez część Ukraińców z okolic Hrubieszowa i Tomaszowa Lubelskiego, za pomocą działań propagandowych.

M.Z.: Ale nie tylko w ten sposób, gdyż wspomniał Pan, że wśród osób

pochodzenia ukraińskiego deklarujących chęć wyjazdu na Wschód były również ofiary śmiertelne.

M.S.: To prawda. Co więcej, właśnie w tych wioskach, w których, jak w przypadku Terebinia, partyzanci sotni „Wowky” byli częstymi gośćmi, gdzie wielokrotnie żywili się i nocowali. Natomiast wiosną 1945 r. w związku z akcją przesiedleńczą ludności ukraińskiej z Polski do USRR wioski na południowej Chełmszczyźnie wyludniają się. Od tej pory nie ma już pewności wśród członków oddziału, że przyjdą na daną kolonię, zakwaterują w pobliskim lesie i za godzinę, dwie ukraińskie dziewczęta przyniosą im ciepłe pierogi. Odtąd trzeba tę żywność zdobywać samemu, ewentualnie liczyć na pomoc Polaków. Zarówno miejscowych, którzy powrócili do swoich domów po akcjach ukraińskiego podziemia skierowanych przeciwko nim, czy też u Polaków, którzy od lata 1943, następnie jesieni 1944 r. przybywali na te tereny z Wołynia. Przesiedlenia stanowią ważną cezurę w działalności oddziału „Wowky”. Nowa sytuacja wymusza odpowiedź na pytanie, jak funkcjonować w nowej rzeczywistości, kiedy zaczyna brakować wsparcia rodzimej ludności, ale też jak ustosunkować się do Polaków? Niektóre działania wobec polskich współobywateli nie znalazły odbicia w treści kroniki. W jej edycji starałem się pokazać również to, o czym ona milczy. To znaczy napady na polską ludność Chełmszczyzny dokonane w maju 1945 r. także z udziałem partyzantów sotni „Wowky”. Doszło do nich w kilku wioskach na pograniczu powiatu hrubieszowskiego i tomaszowskiego, niedługo po prawosławnej Wielkanocy. W ich wyniku zginęło kilkadziesiąt cywilnych Polaków. Należy podkreślić, że do tych tragicznych wypadków doszło tuż przed zawarciem rozejmu między banderowskim a poakowskim podziemiem, którym 21 maja 1945 r. zostały objęte okolice Lubaczowa i Chełmszczyzna.

M.Z.: W kronice nie wspomina się o tej zbrodni. Natomiast w polskiej historiografii podnosi się tezę, z którą, jak rozumiem, Pan w swojej książce nie do końca się zgadza, mówiącą, że wiosną 1945 r. na terenie Chełmszczyzny doszło do ostatnich antypolskich wystąpień OUN-B i UPA w całym łańcuchu podobnych zdarzeń zapoczątkowanych w lutym 1943 r. na Wołyniu.

M.S.: Zgadzam się z tym, że początek tzw. antypolskiej akcji możemy datować na luty 1943 r., jak też z tym, że jej koniec przypada na dni 18–19 maja 1945 r., ale mam pewne wątpliwości co do szczegółów. Chodzi o lokalizację jej końca, to znaczy precyzyjne wskazanie miejscowości, którą/które dotknęła ona jako ostatnią/ostatnie. Starałem się tę kwestię uporządkować, przeanalizować na podstawie dostępnych źródeł i w takim stopniu, w jakim to było możliwe, ustalić liczbę ofiar. Co do antypolskiego charakteru wystąpień UPA z 18 maja 1945 r. w Łachowcach, Rzeplinie i Radkowie z udziałem partyzantów oddziału „Wowky”, skąd w czasie prac polowych uprowadzono w sumie 32 polskich chłopów, których następnie zamordowano, nie mam wątpliwości. Tego faktu w świetle dostępnych źródeł nie sposób zakwestionować. Dodatkowo sięgnąłem po protokoły przesłuchań świadków i materiałów zgromadzonych przez pion śledczy IPN w Lublinie. Z dokumentów tych wynika, że celem wspomnianych akcji było wymordowanie Polaków ujętych przez ukraińskich partyzantów. Relacja przytaczana przez Marcina Zarembę w książce *Wielka trwoga* potwierdza, że banderowcy ściągnęli tych ludzi pracujących z pól i wymordowali w okrutny sposób. Przebieg i grupowy charakter zbrodni wskazują, że mamy w tym przypadku do czynienia z ostatnim akordem antypolskiej akcji OUN-B i UPA z

lat 1943–1945. Mniej więcej w tym samym czasie, czyli w nocy z 18 na 19 maja, w położonej kilkadziesiąt kilometrów na północ Brodzicy, ukraińskiej Bohorodocy, oddział specjalnego przeznaczenia (WOP OUN-B) Wołodymyra Sywaka „Zirki”, podległy rozkazom Służby Bezpieczeństwa OUN-B, który wywodził się z sotni UPA „Wowky” i ściśle z nią współdziałał, napadł i spalił Brodnicę. W moim przekonaniu, po analizie dostępnych materiałów, w tym sporządzonych przez UB i starostwo powiatowe w Hrubieszowie, jak również na podstawie akt śledztwa prowadzonego przez pion śledczy IPN Lublin, należy stwierdzić, że duża skala zniszczeń i stosunkowo mała liczba ofiar wskazują, iż celem banderowskiego podziemia w tym konkretnym przypadku nie było wymordowanie polskich mieszkańców wsi, lecz jej spalenie, aby jako wieś poukraińska nie stała się miejscem zamieszkania polskich osadników.

M.Z.: Wieś tę wiosną 1945 r. obok ludności miejscowej zamieszkiwali również polscy przesiedleńcy z Wołynia.

M.S.: I o ile jesteśmy w stanie ustalić nazwiska osób miejscowych, które zginęły, o tyle pojawia się problem z Polakami nasiedlonymi.

M.Z.: Występują w źródłach rozbieżności co do liczby ofiar tej akcji. Szacuje się, że wahała się ona w przedziale od kilku do kilkadziesiątu.

M.S.: W niektórych dokumentach jest mowa o „kilku aktach terrorystycznych”. Co to oznacza? Może to oznaczać zarówno kilka ofiar śmiertelnych, jak i kilka napadów. W jednym ze źródeł wspomina się o kilkadziesiątu aktach terroru, co niektórzy biorą za liczbę ofiar i podają liczbę około 80 zabitych. Na pewno zginęły dwie osoby – Alicja Strójwąg i Maksym Waszczuk. Waszczuk zginął prawdopodobnie przypadkiem, być może przy okazji rabunku, więc nie był celem – tak wynika z jednych źródeł. Chociaż inne dokumenty mówią, że swego czasu Maksyma Waszczuka o etnicznie ukraińskich korzeniach ukrywał przed kolegami z banderowskiej partyzantki Stepan Telemon „Żorż”, ponieważ Waszczukowi jako zdrajcy sprawy ukraińskiej (wolał identyfikować się z polskością) miała grozić śmierć. Kiedy do wsi wkroczył oddział „Zirki”, nie było w niej Telemona, dotychczasowego opiekuna, dlatego Waszczuk stracił życie. Co do personaliów tych dwóch ofiar możemy więc być pewni. Nie jest przy tym wykluczone, że jedna z nich, jak wcześniej powiedziałem, mogła zginąć przypadkiem. Natomiast te kilkadziesiąt aktów terroru możemy brać za liczbę spalonych chat. W Archiwum Państwowym w Chełmie znajdują się bardzo szczegółowe spisy – tabele miejscowego majątku, który został zniszczony w wyniku wspomnianego napadu.

M.Z.: Podsumowując, można stwierdzić, że według Pana akcja na Brodnicę w pobliżu Hrubieszowa nie wpisywała się w te same schematy wypadków, które następowały w tym czasie w okolicach Tomaszowa Lubelskiego.

M.S.: Dokładnie tak.

M.Z.: Według Pana nie była więc wystąpieniem antypolskim w rozumieniu ostatniego akordu akcji depolonizacyjnej OUN-B i UPA z lat 1943–1945, lecz aktem terrorystycznym mającym raczej charakter wystąpienia przeciwko akcji przesiedleńczej ludności ukraińskiej i nasiedlaniu w jej miejsce ludności polskiej na terenach uznanych przez podziemie banderowskie za „etnograficzne

ziemie ukraińskie”.

M.S.: Tak, ta akcja w Brodnicy – moim zdaniem – wpisuje się w ciąg tych akcji, które zostały zapoczątkowane mniej więcej wiosną 1945 r. i były kontynuowane do drugiej połowy 1947 r.

M.Z.: Niemniej akcją w Brodnicy z maja 1945 r. i kolejne tego typu wystąpienia podziemia ukraińskiego w okolicach Hrubieszowa dzielił okres kilku miesięcy.

M.S.: Prawdopodobnie kolejna została przeprowadzona w październiku 1945 r. w Terebiniu.

M.Z.: Nadal nie jestem przekonany do Pańskiej interpretacji, ponieważ szczegółowe wytyczne w sprawie aktywnego przeciwdziałania akcji przesiedleńczej, w tym dotyczące palenia mienia poukraińskiego, zostały wydane przez Krajowe Kierownictwo (Krajowy Prowid, KP) OUN-B w Polsce dopiero latem 1945 r. Miało to związek z zakończeniem tzw. dobrowolnego etapu przesiedleń na sowiecką Ukrainę, który trwał od jesieni 1944 do wiosny 1945 r. Od lata 1945 r. rozpoczęły się przymusowe przesiedlenia z użyciem WP. Najpierw na Rzeszowszczyźnie, a od przedwiośnia 1946 r. także na wschodniej Lubelszczyźnie. Natomiast nie znam analogicznych wytycznych KP OUN-B w Polsce z wiosny 1945 r. Do tego czasu w odniesieniu do akcji przesiedleńczej obowiązywała instrukcja OUN z jesieni 1944 r., która nakazywała rozpuszczanie wśród Polaków pogłosek, że będą oni zabijani, nie wyłączając kobiet i dzieci, jeśli odważą się zajmować gospodarstwa po przesiedlonych Ukraińcach. Dlatego wydaje się, że akcję WOP OUN-B „Zirki” w Brodnicy z maja 1945 r. należałoby raczej wiązać ze wspomnianą instrukcją OUN wydaną na jesieni 1944 r.

MS.: W przypadku Brodnicy o jej nieeksterminacyjnym celu świadczy w moim przekonaniu prawie zupełny brak ofiar i znaczne zniszczenia materialne. Brak takich instrukcji czy to, że ich nie znamy, nie oznacza, iż działania takie nie mogły być prowadzone wcześniej. Podobnie jak to, że nie dysponujemy rozkazem o eksterminacji Polaków na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, nie świadczy o tym, iż do niej nie doszło.

M.Z.: Chciałbym jeszcze wrócić do dwóch akcji oddziału UPA „Wowky” z marca 1945 r. w Machnówku i Kryłowie. Akcji tragicznych w skutkach dla okolicznej ludności, polskiej i ukraińskiej. Czy miały one ze sobą jakiś związek?

M.S.: Akcja w Machnówku przeprowadzona 11 marca 1945 r. uderzała w członków tzw. istriebitielnych batalionów (IB), milicji pomocniczej zorganizowanej przez NKWD i współpracującej z Wojskami Pogranicznymi NKWD. *Istriebitiele* z Machnówka, głównie Ukraińcy, ale też nieliczni miejscowi Polacy, byli dowodzeni przez Hryhorija Galanta. Od nazwiska dowódcy IB z Machnówka nazywano ich potocznie „galantami”. Akcja oddziału UPA „Wowky” z 11 marca 1945 r., do której przeprowadzenia użyto fortelu – partyzanci ukraińscy w mundurach sowieckich udawali żołnierzy Wojsk Pogranicznych NKWD – była jednym z przejawów działalności podziemia antykomunistycznego. Typowego nie tylko dla podziemia ukraińskiego. Była uderzeniem w przedstawicieli własnego narodu, współpracujących z Sowietami lub jedynie o taką współpracę posądzanych. W jej wyniku zginęło około 80 osób, prawdopodobnie sami

mężczyźni, członkowie miejscowego IB, oraz ich krewni. Już po napisaniu posłowania do książki *Śladem UPA* natrafiłem w zasobach Biura Informacji i Poszukiwań Polskiego Czerwonego Krzyża na listę osób, które zostały zamordowane w marcu 1945 r. w Machnówku. Wynika z niej, że zginęły najprawdopodobniej również osoby niewinne, cywile. Akcję w Kryłowie z 25 marca 1945 r. także rozpoczęto od podstępu. Podobnie jak do Machnówka, upowcy weszli do Kryłowa w mundurach sowieckich. Uczynili to o świcie, po wcześniejszym zabezpieczeniu okolicy. Celem był posterunek Milicji Obywatelskiej. Wprowadzili do wsi jednego ze znienawidzonych wśród lokalnej społeczności polskiej partyzanta ukraińskiego, w okresie okupacji funkcjonariusza ukraińskiej policji pomocniczej w służbie niemieckiej, Petra Marcycha „Mańka”, „Pietię”, który zapisał się w świadomości społeczeństwa polskiego jako bandyta. Zaprowadzili go na posterunek. Ściągnęli milicjantów, którzy nocowali w domach prywatnych, w tym Stanisława Basaja. Po krótkiej bójce z milicjantami, którzy się zorientowali, że mają do czynienia z ukraińskim podstępem, większość powiązano, następnie zabito z broni palnej. Wśród ofiar były również osoby cywilne. Istnieją duże rozbieżności w źródłach, jeśli chodzi o ostateczną liczbę ofiar. Jedno ze źródeł podaje liczbę 45 ofiar śmiertelnych.

M.Z.: Zarówno tych, którzy zginęli w Kryłowie, jak i tych, którzy ponieśli śmierć niedługo po uprowadzeniu w okolicy Dołhobyczowa.

M.S.: Wśród ofiar był między innymi wspomniany Stanisław Basaj „Ryś”, legendarny dowódca Batalionów Chłopskich z okolic Hrubieszowa. Już w czasie okupacji niemieckiej Basaj był postrzegany jako watażka nie tylko przez miejscowych Ukraińców, lecz także przez oficerów hrubieszowskiej AK. Dał się on mocno we znaki zarówno niemieckim władzom okupacyjnym, ukraińskim formacjom policyjnym i wojskowym w służbie okupanta czy lokalnym strukturom podziemia banderowskiego, jak i przede wszystkim okolicznej ludności ukraińskiej. 25 marca 1945 r. Basaja ujęto w Kryłowie, po skrępowaniu wywieziono podwodą w bliżej nieznanym kierunku i następnie pozbawiono życia, prawdopodobnie po uprzednim przesłuchaniu przez Służbę Bezpieczeństwa OUN-B. Akcja w Machnówku, w odróżnieniu od tej w Kryłowie, jest w dużej mierze wydarzeniem zapomnianym wśród społeczności ukraińskiej i polskiej. Dzieje się tak przypuszczalnie dlatego, że ofiary z Machnówka to głównie Ukraińcy i nieliczni Polacy, sympatycy władzy komunistycznej. W zasadzie nie zostały one upamiętnione. Nawet nie wiemy, gdzie spoczywają.

M.Z.: Jedyne w kościele katolickim w Machnówku znajduje się tablica, z której treści wynika, że ofiarami akcji UPA byli mieszkańcy wsi, lecz nie podano informacji o ich narodowości. Nie zgadzają się również widniejące na niej liczba ofiar (47 osób) i data tego tragicznego wydarzenia (15 marca 1944 r.).

M.S.: Natomiast mord w Kryłowie stał się przedmiotem upamiętnienia i regularnych praktyk upamiętniających, co wsparto legendą Stanisława Basaja „Rysia” jako bohatera i męczennika, utrwaloną w okresie komunistycznym między innymi przez Wojciecha Sulewskiego, autora tomiku „Ryś” w akcji, który ukazał się w popularnej w PRL serii wydawniczej „Żółty Tygrys”. Sulewski plastycznie opisał rzekome okoliczności śmierci Basaja w kieracie, co miał dodatkowo uświetnić przez poświęcenie „greckokatolicki pop”.

M.Z.: Interesujące, że według Sulewskiego wydarzenie to miało się rozegrać w Sahryniu, miejscowości stanowiącej symbol cierpienia z rąk polskich ukraińskiej społeczności Chełmszczyzny.

M.S.: Czyli w jednej z ukraińskich miejscowości, która 10 marca 1944 r. została spacyfikowana przez AK i BCh.

M.Z.: W wersji wydarzeń przedstawionych przez Sulewskiego uwagę zwraca również święcenie „narzędzia zbrodni” – kieratu – przez księdza greckokatolickiego, czyli „ukraińskiego nacjonalistę”. Zapewne w zamierzeniu Sulewskiego scena ta miała utrwalać u czytelnika stereotypowy obraz zbrodni, które zostały popełnione przez OUN-B i UPA na polskiej ludności Wołynia i Galicji Wschodniej w latach 1943–1944. Dodajmy, że polskie i ukraińskie źródła z epoki nie potwierdzają okoliczności śmierci Stanisława Basaja przedstawionych w tomiku Sulewskiego. Znana jest przypuszczalna data śmierci i jej sprawcy. Nie wiemy natomiast, gdzie dokładnie do niej doszło. Nieznane jest również miejsce pochówku Basaja.

M.S.: W kronice oddziału „Wowky” była mowa o pogłoskach powtarzanych między ukraińskimi partyzantami na temat przekazania „Rysia” przez UPA członkom SB OUN-B. Mieli oni wywieźć Basaja w bliżej nieznanym kierunku, przesłuchać (możliwe, że z użyciem tortur), po czym zabić.

M.Z.: Basaj został rozstrzelany.

M.S.: W moim przekonaniu „Ryś” został zabrany do pobliskiego lasu uhrynowskiego, gdzie jeszcze do lat pięćdziesiątych znajdowały się bunkry UPA.

M.Z.: Dodam jedynie, że w świetle innych niż kronika źródeł ukraińskich – rękopiśmiennych notatek, niekoniecznie sporządzonych przez autora kroniki, które tylko w pewnym stopniu zostały wykorzystane w jej ostatecznej wersji – Basaj stracił życie 27 marca 1945 r., po dwóch dniach od uprowadzenia z Kryłowa. Notatki potwierdzają, że był on przesłuchiwany w Liskach Waręskich w obecności najwyższych rangą członków podziemia ukraińskiego na Chełmszczyźnie, w tym prawdopodobnie referenta Służby Bezpieczeństwa OUN-B Łeonida Łapinśkiego „Zenona”. Tam też urywa się wszelki ślad po Basaju. Przypuszczalnie został on stracony w tej okolicy. Nie wiemy jednak, gdzie dokładnie go pochowano. Wróćmy jednak do kroniki oddziału UPA „Wowky”, co do której treści nasuwa się co najmniej kilka pytań: 1) Jak Pan myśli, w jakim celu ona powstała? 2) Czy można założyć, że ukazany w kronice obraz jest w miarę pełny, mając jednocześnie świadomość, że kronika stanowi przekaz jednostronny narodowo? 3) Czy nie wydaje się Panu, że maszynopis kroniki stanowi jedynie oficjalny przekaz skierowany do członków i sympatyków banderowskiego podziemia? Przekaz, który powstał „dla pokrzepienia serc”, w celu podkreślenia wysiłku i heroizmu UPA w sytuacji, kiedy społeczność ukraińską na Chełmszczyźnie dotykały akcja przesiedleńcza do USRR oraz terror komunistycznego aparatu represji i wojska? Moje pytania mają związek z faktem, o którym zresztą pisał Pan w swojej książce, poddawania kroniki różnym manipulacjom zarówno przez ukraińskie środowiska emigracyjne, jak i przez propagandę komunistyczną. Należy tutaj przypomnieć ocenzurowaną na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych na Zachodzie wersję kroniki,

która została wydana przez środowiska banderowskie, oraz książkę Władysława Szelańskiego wydaną w 1974 r. *Pseudonim Myron*, zawierającą jakoby wierne cytaty ze źródła, o którym tutaj mówimy.

M.S.: Może najpierw wspomnę o opinii, która dotarła do mnie jakiś czas temu. Pochodziła od jednej z osób, niebędącej historykiem, która stwierdziła, że tekst kroniki – nie posłowie mojego autorstwa, lecz oryginalny tekst kroniki – zupełnie ją rozczarował. Jego treść bowiem zupełnie nie wpisywała się w jej wyobrażenie o działalności UPA. Wspomniana osoba nie znalazła w kronice tego, co już wiedziała o podziemiu ukraińskim.

M.Z.: Skąd wspomniana osoba czerpała wiedzę? Z literatury przedmiotu, z przekazów rodzinnych, środowiskowych czy po prostu z Internetu?

M.S.: To osoba odczytana, wiedzę czerpie więc z publikacji monograficznych. Myślę, że w pewnym stopniu, jeśli przyjrzeć się tej kronice w sposób pobieżny, nie dokonując szczegółowej analizy jej treści, to rzeczywiście może ona w pewnym stopniu rozczarowywać. Z opinii, która do mnie dotarła, wynika, że w świetle kroniki upowcy tak naprawdę nic nie robili, tylko chodzili od wsi do wsi, czasem z kimś walczyli i w sumie tyle. Można się z tym po części zgodzić. Na pewno, tak jak już powiedzieliśmy wcześniej, kronika o wszystkim nie mówi. Nie mówi choćby o zabójstwach polskich chłopów między 6 a 21 maja 1945 r.

M.Z.: Czy możemy założyć, że wypadki z maja 1945 r. zostały w kronice celowo pominięte, a jej autor miał pełną świadomość i wiedzę o tym, co się wówczas wydarzyło?

M.S.: Myślę, że miał tego świadomość. Na przykład dla okresu od początku stycznia do początku marca 1945 r. widnieje w maszynopisie adnotacja, że wydarzeń, które byłyby godne opisanie, nie było. Natomiast z opisu zamieszczonego po 21 maja 1945 r. wynika, że partyzanci, którzy zeszli się wtedy do lasu z okolic Radkowa, opowiadali sobie wrażenia z ostatnich dni. Musiało więc się wówczas wiele dziać. Wyszli z lasu Łykoszyńskiego po Wielkanocy (według kalendarza juliańskiego) i wypowiedani, wymodleni, podniesieni na duchu, poszli w teren w celu wykonania jakichś zadań.

M.Z.: Jeśli dobrze pamiętam, w kontekście wypadków, które rozegrały się między 6 a 21 maja 1945 r., w kronice znalazło się chyba sformułowanie „specjalne” w odniesieniu do zadania powierzonego wówczas partyzantom oddziału UPA „Wowky”?

M.S.: W istocie. Dlatego trudno uwierzyć w to, że autor kroniki nie wiedział o wspomnianych wydarzeniach związanych z zadaniem „specjalnym”, nawet jeśli bezpośrednio nie brał w nich udziału. Tym bardziej, że w kronice opisywał wypadki, w których nie uczestniczył, a wiedzę na ich temat czerpał z innych źródeł, np. meldunków, sprawozdań dowództwa oddziału UPA „Wowky” czy opowieści partyzantów – uczestników i naocznych świadków konkretnych akcji. Z tej perspektywy należy stwierdzić, że kronika o wszystkim nie mówi.

M.Z.: Kiedy dokładnie powstało omawiane źródło ukraińskie?

M.S.: Maszynopis kroniki oddziału UPA „Wowky” został ukończony 30 września 1945 r. Natomiast zapiski do kroniki powstawały na przestrzeni ponad roku, począwszy od drugiej połowy sierpnia 1944 r.

M.Z.: Czyli już po zawarciu w okolicach Lubaczowa polsko-ukraińskiego rozejmu, którym 21 maja 1945 r. objęto także Chełmszczyznę. W związku z powyższym we wrześniu 1945 r. autor kroniki miał pełną świadomość unormowania na tym terenie relacji między podziemiem banderowskim (OUN-B i UPA) a poakowskim (AK/DSZ). Znał też wytyczne, które w tej sprawie przysły od ścisłego kierownictwa podziemia ukraińskiego. Na Chełmszczyznę wiadomości na ten temat dotarły najpóźniej na przełomie maja i czerwca 1945 r. wraz z przybyciem Jewhena Sztendery „Zorianego” („Prirwy”), dotychczasowego referenta SB OUN-B w Lubaczowskim i Jarosławskim. Najprawdopodobniej na polecenie krajowego prowidnyka OUN-B w Polsce Jarosława Starucha „Stiaha” przejął on kierownictwo nad strukturami OUN na wschodniej Lubelszczyźnie, w celu ich reorganizacji i włączenia do powstałego wczesną wiosną 1945 r. na terytorium południowo-wschodniej Polski tzw. Kraju Zakerzońskiego OUN-B. Do tego czasu struktury podziemia ukraińskiego na Chełmszczyźnie podlegały kierownictwu wołyńskiej OUN-B. Wydaje się, że autor kroniki cenzuruje informacje również na ten temat.

M.S.: Szczególnie wątek zbiorowego mordu dokonanego na polskich chłopach w okresie polsko-ukraińskich rozmów sondażowych prowadzonych w Lubaczowskim.

M.Z.: Dodajmy, do którego dochodzi w przeddzień zawarcia rozejmu.

M.S.: Tak, autor cenzuruje wątek zbiorowego mordu na ludności cywilnej, mordu, który nie miał charakteru antykomunistycznego. Miał charakter antypolski, nacjonalistyczny. Bo autor kroniki o pojedynczych zbrodniach na Polakach pisze, ale Polakach jako komunistach, nie neguje też zbrodni na milicjantach czy choćby wspomnianego ataku na Kryłów.

M.Z.: W Kryłowie chodziło o polską samoobronę, powiązaną w okresie okupacji z BCh i Stanisławem Basajem „Rysiem”.

M.S.: Można oczywiście spierać się, w jakim stopniu partyzanci UPA z oddziału „Wowky” mieli nastawienie antykomunistyczne, w jakim zaś antypolskie. Otwarte pozostaje pytanie, czy w momencie popełniania zbrodni, co nie jest uchwytnie źródłowo, upowiec, który zabijał np. polskich milicjantów, czynił to ze świadomością, że zabija ich jako etnicznych Polaków, czy bardziej jako polskich komunistów?

M.Z.: Sęk w tym, że na tym terenie i w tym czasie wielu funkcjonariuszy MO wywodziło się z okupacyjnej konspiracji akowskiej i bechowskiej.

M.S.: W kronice bardzo silnie został zaakcentowany wątek antykomunistyczny, również – jak już wspomniano – w odniesieniu do własnych rodaków. Niemniej obecne są w niej także wątek antypolski oraz tylko w pewnym stopniu antysemicki. Ten ostatni jest ściśle związany z wątkiem antykomunistycznym. W ukraińskim źródle jest mowa między innymi o „polskich tępych głowach”, którym należy uświadomić, że Chełmszczyzna jest ukraińska. Z tej perspektywy Polacy jawią się jako współpracownicy władzy komunistycznej, którzy „odżyli pod

Sowietami", a więc „należy im przypomnieć kozackie uczty, gdy nie było na Ukrainie ni Lacha, ni Żyda”.

M.Z.: Stosunkowo dużo już powiedzieliśmy, o czym w kronice nie napisano. Zatem najwyższy czas odnieść się do tego, co i w jaki sposób zostało w niej zawarte.

M.S.: Jak każde źródło historyczne kronika oddziału UPA „Wowky” jest wdzięcznym obiektem badań i analiz historycznych. Nie ma źródeł bezwartościowych. Z każdego można coś interesującego wydobyć, tym bardziej gdy zestawia się je z innymi materiałami archiwalnymi. W kronice mamy kilka stałych wątków, które przewijają się od początku do końca. To jest przede wszystkim pokazanie jedności nacji ukraińskiej.

To znaczy, że zarówno Wołyniacy, Haliczanie/Galicjanie, jak i Chełmszczacy, a nawet Podlasianie stanowią jedną substancję narodową, nieróżniącą się niczym w poczuciu wartości, misji, tożsamości narodowej. Częściowo jest to prawda, ale należy zauważyć, że mówili nawet innymi dialektami. Różnili się czasem bardzo. Z innych upowskich wspomnień wiemy, że Haliczanie gardzili w pewien sposób Chełmszczakami, którzy według nich nosili się „z ruska”. Gdy nadchodziły święta, Haliczanie ubierali się w wyszywane koszule, a Chełmszczacy – w opinii jednego z partyzantów pochodzących z Galicji Wschodniej – niekoniecznie dbali nawet o swój wygląd zewnętrzny. Kolejna grupa to Wschodniacy, czyli Ukraińcy ze wschodniej Ukrainy...

M.Z.: Gdyż partyzantami sotni UPA „Wowky” byli też dezercerzy z Armii Czerwonej.

M.S.: Mało tego, byli w niej Ukraińcy z różnych regionów Ukrainy. Wśród partyzantów oddziału „Wowky” znajdowali się również Niemiec i Azer. Kronika miała pokazywać, że wszyscy oni są jedną substancją narodową.

M.Z.: Można by powiedzieć, że kronika miała kreować obraz idealny i jednocześnie nie do końca prawdziwy.

M.S.: Zawarty w niej przekaz miał dowodzić, że w ukraińskim ruchu nacjonalistycznym jest miejsce w zasadzie dla każdego Ukraińca, nie tylko pochodzącego z Polski, lecz także obywatela USRR. Zarówno dla Ukraińca, który mówił howirką, czyli np. gwarą hrubieszowską, jak i tego, który posługiwał się zrusyfikowanym dialektem ukraińskim. Nadto dla przedstawicieli innych narodów.

M.Z.: Byleby podzielał pogląd na cele walki podziemia ukraińskiego.

M.S.: Celem nadrzędnym dla podziemia banderowskiego było wywalczenie niepodległego państwa ukraińskiego, co bardzo wyraźnie wynika z treści kroniki. Jak również to, że banderowska UPA stanowi jedyny nośnik idei niepodległości Ukrainy i jako jedyna jest w stanie tę niepodległość wywalczyć.

M.Z.: *À propos* tych różnic. Pan skupił się w książce na tej części kroniki, która dotyczy Chełmszczyzny, ale dodajmy, że jesienią 1945 r. powstała dalsza jej część, poświęcona południowemu Podlasiu, czyli okolicom Włodawy i Białej

Podlaskiej. Podlaska część kroniki oddziału UPA „Wowky” przeczy tezie o jedności narodowej, gdyż wynika z niej, że świadomość narodowa i poparcie dla podziemia banderowskiego wśród tamtejszych Ukraińców były nikłe. Tamtejsza ludność ukraińska w dużym stopniu popierała władzę komunistyczną. To wynikało z doświadczeń okresu międzywojennego i okupacji niemieckiej, kiedy na tym terenie istniało silne poparcie dla radykalnego ruchu ludowego i komunistycznego, a później GL/AL i partyzantki sowieckiej. Kiedy więc na terenach południowego Podlasia tworzone po lipcu 1944 r. struktury OUN-B (nigdy nie powstały tam miejscowe oddziały UPA), unikano w propagandzie OUN terminu „nacjonalizm”, gdyż mógł się on źle kojarzyć tamtejszym chłopom ukraińskim o lewicowych poglądach. Mowa była jedynie o UPA.

M.S.: Południowe Podlasie stanowiło dla ukraińskich działaczy poważny problem już u progu okupacji niemieckiej, szczególnie dla tych pochodzących z Galicji. Już na Chełmszczyźnie przybyłych z Galicji wykształconych Ukraińców (nauczycieli, społeczników) raziło, że miejscowe duchowieństwo prawosławne nie mówi literackim językiem ukraińskim, lecz dialektem czy wręcz po rosyjsku lub z rosyjskim akcentem, z miękką wymową. Na południowym Podlasiu pod tym względem było jeszcze gorzej. Ukraińscy działacze narodowi zderzali się tam w wielu przypadkach z zupełnym brakiem u miejscowej ludności prawosławnej świadomości korzeni ukraińskich. Dało się to zauważyć podczas rajdu oddziału UPA „Wowky” na Podlasie jesienią 1945 r.

M.Z.: Czy w przyszłości zamierza Pan opublikować podlaską część kroniki?

M.S.: Myślałem o tym, żeby przeanalizować i przetłumaczyć część źródła dotyczącego południowego Podlasia oraz niektóre meldunki operacyjne dotyczące działalności kurenia (batalionu) UPA „Wowky”.

M.Z.: O tym pisze Pan w części, która jest komentarzem autorskim. Wróćmy jeszcze do wartości poznawczej kroniki jako źródła historycznego.

M.S.: Każdy, kto na przykład był w wojsku lub służył w jakiejś formacji złożonej z mężczyzn, którzy długo przebywają ze sobą z dala od domu, od bliskich, wie, że dochodzi wówczas do konfliktów interpersonalnych. Takich zwykłych ludzkich konfliktów, a także sporów o podłożu ideologicznym. Natomiast kronika pokazuje przede wszystkim przyjazne relacje między członkami oddziału.

M.Z.: Czyli również pod tym względem prezentuje obraz wyidealizowany?

M.S.: Tak. Jest w niej nawet fragment mówiący o relacjach między szeregowymi partyzantami UPA a członkami Służby Bezpieczeństwa OUN-B, który brzmi: „spotkanie z nimi zawsze jest radosne”.

M.Z.: Zapewne nie można było inaczej napisać, gdyż SB w odróżnieniu od UPA była policją polityczną OUN-B, stanowiącą swoistą konspirację w konspiracji. SB miała bardzo szerokie uprawnienia. Przede wszystkim dbała o zabezpieczenie OUN-B i UPA przed infiltracją wrogich służb. Dbała o dyscyplinę i wysokie morale w szeregach banderowskiej konspiracji, stała również na straży wierności idei oraz celów walki podziemia ukraińskiego. Siała postrach nie tylko wśród partyzantów, lecz także wśród okolicznej ludności ukraińskiej,

nie ciesząc się jej sympatią. Ukraińcy, w tym członkowie podziemia, którzy nie podzielali celów walki OUN-B i UPA lub w nie zwątpili, siali defetyzm bądź dopuścili się zdrady, byli narażeni na poważne konsekwencje, z utratą życia włącznie.

M.S.: Z ciekawostek warto wspomnieć, że upowcy są przedstawiani w kronice jako kontynuatorzy Kozaczyzny, po prostu jako Kozacy. Autor kroniki usiłuje przedstawiać jedność między siedemnastowiecznymi Kozakami walczącymi z Rosją i Polską a partyzantami UPA. Jest to widoczne zarówno w lekturach, które członek dowództwa oddziału odpowiadający za wychowanie polityczne partyzantów podsuwa im do czytania, jak i w pseudonimach nawiązujących do literatury kozackiej.

M.Z.: Czy może Pan podać kilka przykładów pseudonimów, które to obrazują?

M.S.: „Hajda”, „Prybluda”, „Hajduk”, „Palij”, „Palijenko”, „Halaburda” etc.

M.Z.: Czyli w warstwie pseudonimów odwoływano się do klasyki literatury ukraińskiej.

M.S.: Tak, często sięgano do poematów Szewczenki. Pseudonimy „Bohun”, „Peremoha”, „Kobzar”, „Hulajpole” to ewidentne zapożyczenia z romantycznej literatury ukraińskiej. Wzmacnia to idealistyczny obraz ukraińskiego podziemia nacjonalistycznego. Nie ma w kronice mowy o bandytyzmie, pijaństwie, aczkolwiek jeżeli upowcy piją, zostaje to odnotowane tylko po zwycięstwie albo przy święcie.

M.Z.: Podsumowując, kronika nie przedstawia rzeczywistego, przez to obiektywnego obrazu realiów życia codziennego partyzantów UPA, lecz raczej obraz wyidealizowany.

M.S.: W zasadzie tak. Można powiedzieć, że jest to w sumie źródło napisane bardziej ku pokrzepieniu serc, mające dowodzić heroizmu uczestników ukraińskiego ruchu narodowyzwoleńczego. Owszem, nie możemy zaprzeczyć, że niektórzy ukraińscy partyzanci odznaczeni się bohaterstwem. Niemniej obok heroizmu, wytrwałości czy ideowości mamy również do czynienia ze zbrodniami na polskich i ukraińskich cywilach.

M.Z.: W drugiej części Pańskiej książki, która jest w istocie autorskim komentarzem do kroniki, porusza Pan między innymi problemy etyczne. Zawiera ona wątki dotyczące dylematów i rozterek pojawiających się u niektórych partyzantów UPA w sytuacjach, gdy dochodziło do zabijania chłopów ukraińskich, na przykład w Machnówku. Nie wiem, czy tego rodzaju wahania towarzyszyły wyborom większości ukraińskich partyzantów, czy jedynie kronikarzowi oddziału. Stąd moje kolejne pytanie: Czy Pańskim zdaniem rolą historyka oprócz rekonstrukcji wydarzeń w sposób możliwie najbardziej obiektywny i dekonstrukcji mitów jest również ocena moralna i prawna czynów, o których czytamy w źródłach?

M.S.: Nie mogłem przejść obojętnie obok wątków, które kronika jako źródło historyczne z konkretnej epoki, ale nie tylko ona, narzucała historykowi podejmującemu się jej analizie. To znaczy obok zagadnień dotyczących między

innymi moralności i religijności partyzantów UPA. One rzeczywiście się pojawiały. Dlatego starałem się pochylić również nad nimi. Oczywiście bez publikacji ustalających podstawowe fakty niemożliwe jest wejście na poziom dyskusji o przeszłości obejmujący problemy etyczne. Nie chciałem pozostawić ich w książce bez komentarza. Historyk jako człowiek jest w pewnym sensie także etykiem, ponieważ każdy na co dzień podejmuje decyzje rangi moralnej, mniej lub bardziej istotne. Niemniej aby badacz mógł dokonywać oceny prawnej, powinien – moim zdaniem – mieć również elementarną wiedzę prawniczą.

M.Z.: Co zyskujemy, podejmując temat moralności upowca?

M.S.: Pokazujemy konkretną postawę moralną. Nie jestem zwolennikiem tezy zakładającej, że konkretna organizacja konspiracyjna była moralnie odpowiedzialna za dany czyn lub czyny, gdyż wyborów moralnych dokonuje się indywidualnie, w zgodzie z własnym sumieniem. Do zajęcia się wspomnianym zagadnieniem zainspirowały mnie prace prof. Tomasza Stryjka. W jednym ze swoich artykułów wspomniany autor napisał, że nie powinniśmy oceniać danej organizacji czy jej członków przez pryzmat przynależności do jej struktur, ale brać pod uwagę indywidualne postawy i konkretne czyny. To jest bardzo trudne, często wręcz nieuchwytnie źródłowo. Dlatego aby uniknąć generalizacji, trzeba zejść na poziom mikrohistorii, na poziom jednostki. Zgłębiając zagadnienie moralności, pod warunkiem że źródła nam na to pozwolą, możemy uzyskać obraz nie czarno-biały, lecz pełen odcieni szarości, wyjść poza prosty schemat, poza matrycę stereotypowego myślenia, poza jednostronną narrację narodową. Wtedy może się okazać, że konkretne decyzje w konkretnych wypadkach niekoniecznie wynikały z narodowości osoby, która je podejmowała i popełniała dany czyn. To jest – moim zdaniem – poznawczo bardzo interesujące. Warto na przykład zastanowić się, ile było szczerości w słowach autora kroniki, kiedy pisał, że ukraińskie serce boli, krwawi, gdy trzeba strzelać do przedstawicieli własnego narodu „otumanionych, ogłupionych komunizmem”. Konflikt polsko-ukraiński z lat czterdziestych XX w. to do dzisiaj głęboka i niezagojona rana. To również temat burzliwych debat publicznych. Konflikt etniczny jest często przedstawiany w krzywym zwierciadle, w sposób zero-jedynkowy, co przejawia się szczególnie mocno w narracji stosowanej przez środowiska radykalne. W języku używanym nawet w obszarze tak delikatnym, jak upamiętnienia, zabarwionym emocjonalnie, dotyczącym wartości moralnych. Przejawem, którego jest choćby nagminne używanie określenia „bandy” w odniesieniu do UPA.

M.Z.: Dodajmy, terminu charakterystycznego dla języka propagandy z PRL.

M.S.: Odpowiadając ostatecznie na Pańskie pytanie, historyk może wchodzić w rolę obserwatora i oceniającego konkretne postawy, decyzje i czyny pod kątem moralnym, lecz powinien to czynić bardzo ostrożnie.

M.Z.: W ten oto sposób dotarliśmy do końca naszej rozmowy, za którą serdecznie Panu dziękuję i jeszcze raz gorąco polecam książkę *Śladem UPA* wszystkim zainteresowanym najnowszą historią wschodniej Lubelszczyzny oraz otwartym na źródła rozmaitej proveniencji, w tym przekaz będący w kontrze do jednostronnej narracji narodowej.

M.S.: Również bardzo dziękuję za rozmowę.

Książkę można zamawiać m.in.:

<https://www.libra.pl/produkt/sladem-upa,304574.html>.

[1] 10 III 1944 r. w Turkowicach mógł paść ofiarą żołnierzy AK, natomiast jeśli został zabity rok później, to prawdopodobnie przez partyzantów UPA. Możliwe, że był jedną z ofiar napadu ukraińskich partyzantów na chłopów pracujących w polu w rejonie Sahrynia. Doszło do niego 16 V 1945 r. Z rąk ukraińskich życie straciło wówczas pięć osób.

Deskrypcja wywiadu: Michał Bednarczyk

Korekta językowa: Beata Bińko